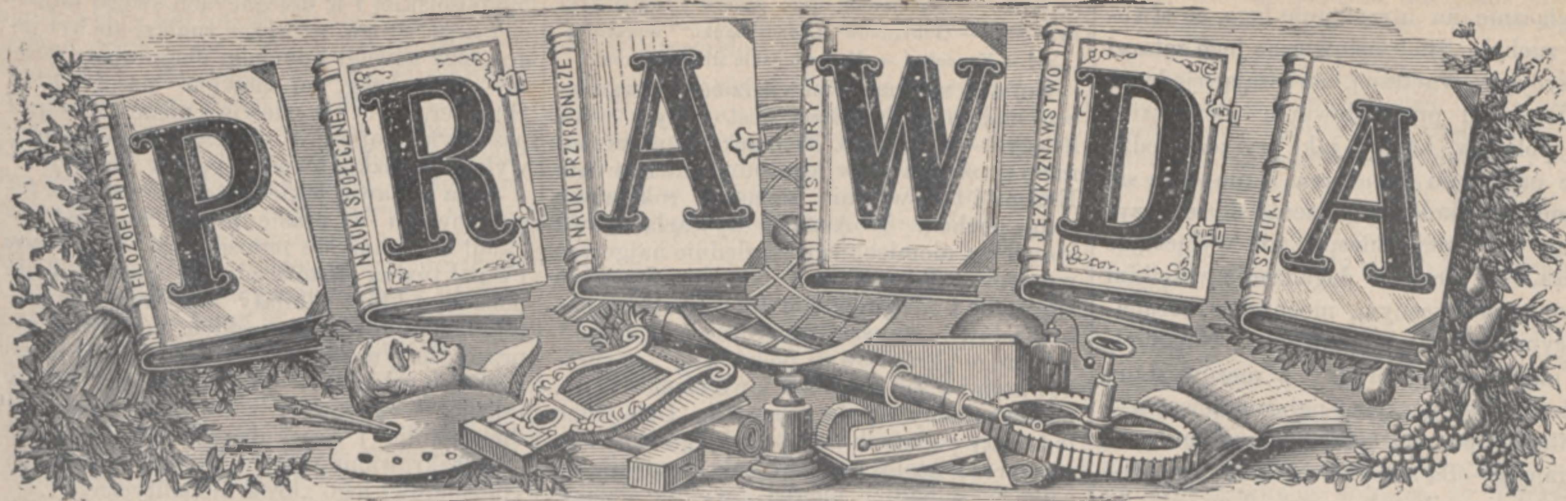
№ 4. Warszawa, dnia 22 (10) Stycznia 1887 r. Rok VII.



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)

W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Złota Nr. 23.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ: *Polityka:* W niemocy. — Z Austryi p. S. — Tydzień polityczny. — *Powieść:* Szkice wiejskie. X. Marysia p. X X. — *Życie społeczne:* Z Rusi galicyjskiej p. Huculę. — *Badania naukowe:* Filozofia. Kantyzm i przyrodoznawstwo p. M. Kaufmana. — Epidemia pesymizmu. II. p. N. Hirszbanda. — Kartki z dziejów ludzkości. III. Epidemie wiedźmowskie p. Lud. Krzyw. — Doświadczenia głodowe p. Z. *Literatura i sztuka:* Kartki estetyczne p. Wiktora Gomulickiego. — *Fejleton:* Liberum veto p. Posła Prawdy. — Pod mikroskopem p. n. G. — Kronika bieżąca.—Odpowiedzi redakcyi.— Ofiary. — Ogłoszenia.

POLITYKA.

W NIEMOCY.

Dla niemców może być i niewątpliwie jest ważnym właściwy przedmiot zatargu z ich panem, mianowicie liczebne podniesienie armii w czasie pokoju o 41,000 żołnierzy oraz wszystkie namotane na ten kamyk dąsy, gniewy, złorzeczenia i zamachy, zakończone rozwiązaniem parlamentu; dla Europy wszakże a więc i dla nas posiadają wagę przedewszystkiem wyznania ks. Bismarka, dotyczące jego polityki zewnętrznej. Kiedy telegraf, który nie w tym jednym wypadku okazał wielki talent wykręcania prawdy odwrotem, rzucił pierwszą wiadomość o mowie kanclerza, usprawiedliwiającej konieczność pomnożenia wojska, zdawało się, że zawieszony od tak dawna w chmurach politycznych piorun wojny spadnie za chwilę. Ale gdy wiarogodniejsza od telegrafu poczta przyniosła dosłowny tekst tej mowy, z wielkiem zdumieniem dowiedzieliśmy się, że, przeciwnie, pokój jest obmurowany i że tylko dla pewniejszego utrzymania go potrzeba beczkę jedności niemieckiej opasać nową obręczą militaryzmu a przeciw przyjaciołom najeżyć się nową szczotką bagnetów.

Według najuroczystszych zapewnień ks. Bismarka, stosunki Niemiec ze wszystkiemi mocarstwami są wyborne, tylko jedna Francya nie przedstawia pewności dostatecznej. Należymy — rzekł on w wywodzie — do państw „nasyconych,“ nie pragniemy i nie mamy żadnego powodu prowadzić wojny zaczepnej. Wygładziliśmy z Austryą wszelkie nierówności, zatarliśmy dawne urazy i obecnie pozostajemy w związku ścisłym. Ale nie to tylko było celem naszej polityki, lecz przyjaźń wzajemna trzech mocarstw wschodnich, zapewniająca Europie przez lat 30 (przymierze św.) pokój w epoce, w której „wytrysły źródła pomyślności, dobrobytu ekonomicznego i rozwoju.“ Nam samym nietrudno żyć w zgodzie z Rosyą, która nie grozi nam ani napadem, ani polityką wrogą. A cóż my mamy za interes do walki ją wyzywać? Taki instynkt barbarzyński jest obcy rządom Niemiec. Rosya nas nie zaczepi, jeżeli nie pogonimy za nią do Bułgaryi, jak tego chciała prasa opozycyjna. „Zasłużyłbym zaś na oskarżenie przed sądem o zdradę kraju, gdybym taką głupią myśl podjął.“ Jest to dla nas zupełnie obojętnem, kto w Bułgaryi panować będzie i co się z nią wogóle stanie. O nią z Rosyą nie pokłócimy się. Przyjaźń Rosyi ma dla nas większą wartość, niż Bułgaryi i jej popleczników. W dążeniu wszakże do utrzymania na wschodzie Europy trójcesarskiego trójkąta spotykamy pewną trudność, którą przedstawia stosunek austryacko-rosyjski. Tu rzeczywiście istnieją interesy współzawodniczące, które naruszają zgodę. I właśnie naszem zadaniem jest usuwanie tych sprzeczności i umacnianie związku. Skutkiem tego często w Rosyi uchodzimy za austryaków a w Austryi za rosyan.

Natomiast Francya nie przedstawia żadnej rękojmi bezpieczeństwa, gdyż między nią a Niemcami ciągnie się długi a niezakończony dotąd proces historyczny, który prawdopodobnie będzie musiał być kiedyś — za dni lub lat 10 — rozstrzygnięty orężem. „Z naszej strony uczyniliśmy wszystko, ażeby Francya zapomniała o przeszłości, staraliśmy się dogodzić wszystkim jej życzeniom“ — daremnie. My nie zaczepimy jej nigdy, ale ona, skoro tylko znajdzie odpowiednią sposobność, otoczy się sojuszami i dostrzeże swoją przewagę wojskową, zechce pomścić dawną klęskę. Podsyca bowiem „święty ogień odwetu,“ jak radził Gambetta — „nie mówi o wojnie, ale o niej ciągle myśli,“ żaden jej minister nie miałby odwagi wyrzec się zamiaru odzyskania Alzacyi i Lotaryngii. Nadto pamiętać trzeba, że tam zawsze w chwilach krytycznych rozstrzygały nie większości (narodu i parlamentu), lecz „mniejszości energiczne.“ Gdyby zaś w wojnie francuzi zwyciężyli, postąpiliby z niemcami okrutnie, wycisnęliby z nich ostatnią kroplę krwi, ażeby ich ubezwładnić na długo. Ażeby tedy im odebrać tę chęć i nadzieję, trzeba stworzyć armię silną, nietylko zdolną odeprzeć wszelką napaść, ale odstręczającą od wszelkich zamachów.

Tak uzasadnił ks. Bismark swoje żądanie pomnożenia armii na lat 7. Dla Niemiec — jak rzekliśmy — miało to żądanie szczególną wagę, bo odrzuciwszy zgodę parlamentu, ograniczoną do lat 3, uparłszy się przy siedmioleciu i rozwiązawszy sejm, kanclerz zdradził swą myśl, że mu nie tyle chodziło o powiększenie wojska i bezpieczeństwo kraju, ile o rozbicie niewygodnego do samowładnych rządów parlamentu i skusznie narodu hasłem popularnem do wybrania uleglejszych przedstawicieli. Ale i ten zatarg czysto miejscowy ilustruje również pokojowe na zewnątrz zamiary ks. Bismarka i odsłania jego system, który niedawno naszkicowaliśmy. Nie pragniemy z nikim wojny — usiłujemy tylko przeciwników do niej zniechęcić — otoczyć się przymierzami i potargać sojusze nieprzyjaciół naszych — oto jest rdzeń wynurzeń Jowisza niemieckiego, któremu najzupełniej w tym punkcie wierzymy. Może to będzie wyraz za silny, gdy powiemy, że on boi się, ale takim tylko wyrazem scharakteryzować można politykę balansowania zapomocą „trójkątów,“ politykę gaszenia wszelkich iskier wojny, której ogień mógłby się rozpostrzeć szerzej, politykę „państwa sytego,“ które nic chce niczego pochłaniać. Wielokrotnie zwracaliśmy na to uwagę, ciągle przez fakty w słuszności swej potwierdzaną, że ks. Bismark od r. 1871 przestał myśleć o zabo-

rach, o wielkich planach, że starość poświęcił wyłącznie na utrzymanie tego, co stworzył i zdobył. Stąd ustawiczne jego zatargi z opozycyą wewnętrzną, naruszającą jedność Niemiec, stąd prześladowanie niestrawionych polaków, którzy jak pryszcz siedzą ciągle na języku kanclerza i nie dają się splunąć, stąd kolejne godzenie się ze wszystkiemi potęgami Europy, nie wyłączając papieża, stąd wreszcie dogadzanie wszelkim egoizmom politycznym, mocnym a niezahaczającym o interesy niemieckie. Najśmielszy i najniebezpieczniejszy z mężów stanu dziś jest najlękliwszym i najzgodniejszym— dla silnych, pozostał tylko zuchwałym i nieubłaganym—dla słabych. Nie chcę wojny— nie zaczepię nikogo! — woła bez ustanku i woła szczerze. Ponieważ w krzyku tym zdradza się pewna bojaźń i samolubstwo, nie budzi zapału nawet tam, gdzie najczulsze grzeczności rzuca. Syty „wujaszek całego świata," „uczciwy mekler" nie może być dla wszystkich postacią sympatyczną w chwilach wielkiego naprężenia sprzeczności interesów i dążeń, kiedy każda strona wymaga od przyjaciół oświadczenia się stanowczego za tym lub owym. Nic też dziwnego, że chociaż ks. Bismark powiedział tyle słodyczy Rosyi, prasa rosyjska przyjęła je kwaśno.

Zbroić się — i zbroić. Oto jedyna rada, jaką daje Europie kanclerz niemiecki. A cóż dalej, co będzie, gdy przez te uzbrojenia Europa zostanie już *saignée à blanc*? Ja nie patrzę w karty Opatrzności — odpowiada skromnie prorok. Ale narody i rządy, dbałe o swą przyszłość nie mogą zadowolić się taką odpowiedzią, wygodną tylko dla tych, co umieją wprowadzić ludzkość w błoto a ratunek zostawić „Opatrzności." Ks. Bismark zawiązał węzeł, którego rozplątać nie umie i wzywa na pomoc niebo. Biedny, dożył niemocy.

Z AUSTRYI.

Wiedeń, 15 stycznia.

Hic Bismark — hic salta! — Rozczarowanie. — Przepowiednia Hausnera. — Położenie wewnętrzne. — Na prawo, czy na lewo? — Nowe runo złote Koła polskiego. — Dunajewski i jego kolega z tamtej strony wody. — Gubernator „Laenderbanku" wyratowany! — Koncerty. — Nowe polskie stowarzyszenie.

Śmiało możnaby powiedzieć, że rządzącem ciałem niebieskiem jest w tym roku księżyc — łysiny ks. Bismarka. Pod wrażeniem groźnych słów jego stoi bowiem cała Europa i tem właśnie zaznacza rok nowy swój pochód. W Austryi wywarła mowa kanclerza niemieckiego względnie najgorsze wrażenie. Tworzy ona bowiem ogromne złudzenie i odczarowanie dla wszystkich entuzyastów „sojuszu austro-niemieckiego," o którego „granitowej podstawie," „wypróbowaniu," „*en tous cas* użyteczności" itp. nasłuchaliśmy się do przesytu. Dziś jeden lodowaty podmuch nadsprejskiego Boreasza wystarcza, ażeby rozwiać całą mgłę iluzyj i ukazać w pełnej nicości „wielkie dzieło" polityki hr. Andrassego, twórcy „sojuszu" i jego następców. Taki sojusz, który Austryi nie zapewnia pomocy Niemiec w razie wojny, jest raczej — pętami dla niej, krępującemi całą jej swobodę działania politycznego. Ale prawda, dziś właśnie poucza jedna z wiedeńskich wyroczni półurzędowych, że *casus foederis* następuje wtedy, gdy jeden z sprzymierzeńców jest naraz zaczepiony z dwóch stron. Od jednego przeciwnika może więc przyjaciel otrzymać razy i być zdeptanym. To „zaczepienie z dwóch stron naraz" nie ma dla Austryi wielkiej doniosłości. W danym razie mogłoby chodzić o Włochy, ale z tej strony nie grozi jej faktycznie żadne niebezpieczeństwo, gdy Włochy są więcej interesowane powodzeniem austryackiego, *przeciwdziałającego* wpływu na półwyspie Bałkańskim, aniżeli niepewną wojną o piędź ziemi w południowym Tyrolu. Dla Niemiec *casus foederis* zupełnie inne ma znaczenie. Jest on dla nich po prostu kwestyą życia, gdyż uniemożliwia przyjście do skutku zaczepno-odpornego przymierza pomiędzy Francyą a Rosyą, przymierza, którego boi się niezmiernie kanclerz niemiecki. Austrya jest przeto wyzyskiwaną przez Niemcy i służy im za narzędzie.

Dlatego ludzie trzeźwo myślący, do jakiegokolwiek należą stronnictwa, widzą, że austryacka polityka zewnętrzna nie może iść dalej dotychczasowym torem, że mając dobro państwa na celu, trzeba jej koniecznie nadać inny kierunek.

W czasie największego zachwytu „sojuszem" i formalnego nim oszołomienia, kiedy najłagodniejsze wystąpienie przeciwko „grubej przyjaźni sąsiednich dwóch cesarstw" poczytywanem było za zdradę stanu, a obłęd szedł tak daleko, że jak istne karyatydy nawet i polacy podpierali w Izbie poselskiej i w delegacyach swego najzaciętszego wroga, wówczas znalazł się był jeden mąż odwagi i duchem obejmujący szerszy widnokrąg, mianowicie poseł Otton Hausner, który w słowie i piśmie wystąpił przeciwko sojuszowi austro-niemieckiemu, wykazując szkodliwość jego dla Austryi.

Jaka wrzawa, jakie wycie powstało z tego powodu w prasie niemiecko-austryackiej! Bez namysłu ogłosiły go obie *Presse* i z pół tuzina *Blattów* zdrajcą stanu, a Koło polskie, o które odbijały się kręgi oburzenia dzienników niemieckich, urzędowo zaprzeczyło tym zapatrywaniom się jednego z swoich członków. W Galicyi nie brakło także „organów," zacietrzewionych jednostronnie i oczekujących od Bismarka „zmasakrowania," które gorzko wyrzucały Hausnerowi jego „krok niepolityczny."

Teraz, po upływie lat kilku, przyznaje się nawet *N. fr. Presse*, iż doznała wielkiego odczarowania, czyniąc zarazem uwagę, że Austrya będzie musiała poszukać innej podstawy — „granitowa" bowiem jest całkiem strupieszałą — dla swej polityki zewnętrznej. Kto wie, czy nie po niewczasie.

Sejm czeski stał się teraz prawdziwym *czeskim*, gdyż posłowie niemieccy, będący w mniejszości, nie mogąc przeprowadzić swego wniosku germanizacyjnego, opuścili Izbę. „Stronnictwo państwowe" — jak niemiecka lewica zowie siebie chętnie — z pychą zeszło na stanowisko mechanicznego przeczenia i bezprawia, czem niezawodnie jest polityka nieobecności. Rząd umywa sobie ręce jak Piłat i czyni czechów odpowiedzialnymi za wszystko—co jest śmiesznością, gdyż czesi bronili właśnie rozporządzenia językowego, wydanego przez rząd, a niemcy wzięli im to za złe tak dalece, że zabrali manatki i poszli. Niema nad logikę półurzędową.

Zresztą zastój i kołowacizna w dziedzinie polityki wewnętrznej. Obojętność i bezprogramowość stanowią znamię chwili. Nikt nie wie, jaką iść ma drogą. Nie wie tego i sam gabinet, mianowicie o ile może „przechylać się na *lewą* stronę," ażeby nie stracił równowagi. Koło polskie, brnące po pas w bagnie ministeryalnem, spogląda trwożliwie wokoło siebie, a kiedy widzi swoje „próżne ręce," to czuje mrowie i przypominają mu się niezadowoleni wyborcy w kraju; więc pragnie przynajmniej chwytać się pozoru, ażeby przecież „coś zrobić." Takiem „coś" jest sprawa galicyjskiego funduszu indemnizacyjnego. Ta ma stanąć na porządku dziennym Rady państwa. Kraj tyle z tego będzie miał pożytku, co umarły z kadzi-

---

POWIEŚĆ.

SZKICE WIEJSKIE.

X.

Marysia.

Sprowadzili ją prawie gwałtem do Warszawy. Samej nie przyszłoby nigdy do głowy nic podobnego. Jeździły znajome, wzdychała do wyjazdu niejedna, ale Marysia wolała zawsze wieś.

Aż tu zachciało się koniecznie jej córce dziedzica.

We wsi wszyscy na nią: ty głupia, jedź, a czy to ci źle będzie, a co tu wysiedzisz? Jakto Ludwika wybielała, a jakie stroje zwozi! Wszyscy jej Warszawę chwalą. Tam służce święte życie: nic nie robi, dobrze je; tam mięsa tyle, co u nas mleka.

—A dopiero różne kumedyje po podwórzach. Kataryniki, małpy, ąciasto pszenne! Wszystko też jest tanie, nie tak, jak w naszem mieście. Za psie pieniądze dostaniesz, co zapragniesz.

Marysia słucha i może ochoty nabiera.

Mówi sobie: spróbuję, toć nie przepadnę, tyla jeździ i dobrze im, nie ja jedna.

Jedzie więc z żydami. Przedtem zaś sprzedaje pierzynę za pół darmo, bo w Warszawie byłoby jej spać gorąco, tam sobie „nabierze" na kołdrę. Przecież w Warszawie cieplej, niż na wsi.

Zabrali więc żydzi kufer i Marysię.

Nie płakała, wyjeżdżając. Przecież pół wsi dziewczyn z zazdrością na nią patrzy. Zośka ma łzy w oczach. Czemu to ona nie może jechać, czemu jej pani nie zażądało się. Nawet stara Franka zostawiłaby dwie swoje pociechy i powędrowała, choć jej tłumaczą, że w Warszawie świń nie chowają, a ona tylko zdatna do drobiu i do świń!

Zaćby nie chowali! A cóż robią z obierkami? Przecie tam tyla kartofli zjadają!

Zostanie jednak i Franka i wszystkie inne, a Marysia jedzie.

Jedzie przez dwie noce i dzień. Przykrzy jej się okropnie. I jeść się chce. Chleb dawno zjadła. Dali jej wprawdzie cukru i herbaty, ale nie wie wcale, jak się do tego wziąć. Zresztą każdy popas prześpi.

W budzie siedzi ich dziesięcioro; trzy służące. One zapłacą tylko po cztery złote za furmankę, bo nie mają takiego kufra.

W Warszawie stanęli rano. Służące odjechały zaraz na miasto dorożką, Marysia czeka; nie ma to sposobu, żeby dorożką jeździć. Żyd zawiezie zboże do spichrza, to i ją weźmie. Tymczasem nic nie bawi jej nic. Patrzy, bo gdzieś oczy podzieje, ale nic jej nie dziwi, ani sklepy, ani domy wysokie, ani ruch na ulicy.

Patrzy tak obojętnie, jakby już to widziała codziennie, od dziecka.

W służbie czekają różne niespodzianki. Najpierw trzeba słomy do siennika kupić. Czy to słychana rzecz?!

Na wsi każdy, nietylko sobie w łóżko, ale i pod bydło słomę ściele darmo. A tu dawaj czterdzieści groszy za wiązeczkę. O rety, rety!

Mówią, że i szpilki do włosów darmo Marysia nie dostanie i groszówkę do cerowania musi kupić.

Same zawody.

I służba ciężka. Marysia o 9-ej już na wsi przewracała się na drugi bok, a tu siedź do 11-ej, czasem dłużej.

Zamiataj codzień wszystkie pokoje i ścierką wycieraj.

Pani taka, że tam kurz widzi, gdzie Marysia najmniejszego „naproszku" dojrzeć nie może. I ścieraj tu!

dła. Państwo ma rzekomo do żądania od Galicyi za zniesienie pańszczyzny bajońskie sumy, około 100 milionów. Do żądania brak jednak tytułu prawnego, a zresztą Galicya takiej sumy nie mogłaby z funduszu krajowego spłacić pod żadnym warunkiem, chyba by ją złupiono — ogniem i mieczem. Otóż „darowanie“ takiego długu jest zupełnie obojętnem, a to tembardziej, że właśnie darowizna pociąga za sobą ofiary ze strony kraju, który po niej musiałby o pół miliona guldenów więcej dopłacać na umorzenie obligacyj indemnizacyjnych. Koło polskie podjęło więc na teraz tę „żywotną sprawę“ i „jest nadzieja — zapewniają organa stańczykowskie — że rząd poprze ten postulat Koła polskiego.“ Naturalnie, że „nadzieja“ tworzy w danym razie powód zachwytu i pobudza do piania hymnów pochwalnych o „ogromnych zasługach,“ o „niespożytej gorliwości“ Koła polskiego i o „sprzyjającym krajowi rządzie.“

Tymczasem bardzo niepocześnie zapowiada się nowa sesya parlamentarna. Dotychczas nie wiadomo jeszcze — po rozbiciu się rokowań ugodowych — czy projekty ugodowe wejdą na stół obrad parlamentarnych. Dunajewski jak „święty Jerzy“, walczy przeciwko smokowi przemytnictwa węgierskiego (nafty kaukaskiej), a węgrzy stoją uporczywie przy sztandarze defraudacyi. Wprawdzie chwieje się stanowisko węgierskiego ministra skarbu, jednak pytanie wielkie, czy nowy minister okaże się skłonniejszym do ustępstw. Ma wszakże p. Dunajewski na razie zadowolenie, gdyż węgrzy przypuścili byli szturm do jego fotelu ministeryalnego, tymczasem on chwieje się pod ich ministrem skarbu. Z tego wynika, że Dunajewski zajmuje bardzo silne stanowisko. Inne pytanie, o ile zdoła on bronić galicyjskiego przemysłu naftowego wobec uroszczeń węgierskich.

Tymi dniami o mało co nie stracili stańczycy jednej z ważnych swych pozycyj w Wiedniu. Mianowicie „gubernatorstwo“ p. Wodzickiego w *Länderbanku* było wielce zagrożone. Stało się to tym sposobem, że na walne zgromadzenie akcyonaryuszów przybyli z Niemiec posiadacze znacznej ilości akcyj wspomnianego banku, a rozporządzając wielką ilością głosów, chcieli przeprowadzić „puryfikacyę zarządu.“ Tymczasem przyszło na szczęście do ugody i były marszałek Galicyi będzie miał nadal sposobność „czynić z siebie ofiarę dla kraju,“ chowając setki tysięcy do kieszeni.

P. Sembrich-Kochańska koncertuje obecnie z dobrem powodzeniem w Wiedniu. Krytyka miejscowa wyraża się pochlebnie o jej głosie, szczególnie zaś o dobrej szkole. Mierzwiński występował tu niedawno również w koncercie.

Zawiązuje się w Wiedniu nowe polskie stowarzyszenie „Praca.“ Zadaniem jego będzie utrzymywanie w mieście nauczyciela języka polskiego dla dzieci polaków mieszkających w Wiedniu. Będzie to więc rodzaj szkolnego polskiego stowarzyszenia.

S.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Górującym wypadkiem w polityce europejskiej jest naturalnie mowa księcia Bismarka w parlamencie niemieckim. Rozszerzać się nad tą mową nie będziemy w tem miejscu; zaznaczymy tylko, że bez względu na odrzucenie przez parlament proponowanego siedmiolecia, rząd pruski już wydał rozporządzenia dotyczące skompletowania armii podług nowego budżetu.

Wybory do nowego parlamentu pod dziwnem zaprawdę hasłem dokonywać się mają: „czy armia jest cesarska, czy parlamentarna?“ Takie przeciwstawienie dwóch władz przed sumieniem narodu przekonywa dostatecznie, że Bismark nie poczytuje parlamentu za instytucyę narodowo-niemiemiecką, i niedość na tem, ale w jego przekonaniu większość narodu zapatruje się na parlament, jak na ciało, które powinno w danych razach wypowiadać swoje zdanie, ale nie swoją wolę.

Anglia utraciła w tych dniach jednego z celniejszych swoich mężów stanu, lorda Iddesleigh, który zmarł nagle skutkiem ataku sercowego w chwili, kiedy, podawszy się do dymisyi, jako członek gabinetu, przygotował papiery do zdania służby.

W Irlandyi agitacya ligi rolnej nie ustaje, a nawet odniosła pewien tryumf, gdyż jednego z większych właścicieli, lorda Dillona, skłoniła do znacznych ustępstw na korzyść dzierżawców.

Francuski minister wojny, gen. Boulanger, gorliwie pracuje nad obdarzeniem armii nowymi karabinami i ulepszonymi materyałami wybuchowymi. Mowa Bismarka chłodno została przyjęta przez prasę francuską. Publiczność powitała wiadomość o rozwiązaniu parlamentu, jako klęskę żelaznego kanclerza. O sprawach kolonialnych francuskich sprzeczne nadchodzą wiadomości. Podług jednych doniesień stosunki z Madagaskarem na coraz lepszej są drodze, podług innych — grożą tam nowe powikłania. Natomiast sprawy tonkińskie, o ile się zdaje, niepomyślny dla francuzów biorą obrót, choć pewnych wiadomości rząd francuski nie udzielił dotychczas. Powstanie tonkińczyków jeszcze nie uciszone, a sąsiedztwo Chin, wciąż niechętnie patrzących na sadowienie się europejczyków w Anamie, nie przyczynia się do złagodzenia sytuacyi.

Poselstwo bułgarskie, przybywszy do Rzymu, zostało wprawdzie uprzejmiej przyjęte niż w Berlinie lub w Paryżu, nie inną wszakże usłyszało radę, jak tylko, że Bułgarya powinna zgodzić się z wymaganiami Rosyi. Korespondencye telegraficzne gazet zagranicznych donoszą, że Turcya zamierza wystąpić do regencyi z żądaniem, aby złożyła rządy. W czyje ręce? Zapewne w ręce sobrania, które niebawem będzie zwołane. Wszakże sobranie musiałoby mieć na ten wypadek jakiś gotowy program działania, przyjęty przez naród, a o tem właśnie wcale nie słychać.

Sprawujący dotąd poselstwo angielskie w Konstantynopolu, p. White mianowany został ambasadorem przy Wysokiej Porcie. Operetkowy poseł turecki w Sofii, Gadban effendi, zniknął tak nagle z tego miasta, że się nawet z agentami dyplomatycznymi nie pożegnał. Krąży o nim mnóstwo wieści niezaszczytnych dla przedstawiciela zwierzchniczego mocarstwa. Następca jego, Tahir bej, dotąd nie przyjechał.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Z RUSI GALICYJSKIEJ.

Lwów, 15 stycznia.

Za staraniem byłego marszałka sejmu, p. Zyblikiewicza stworzono przy istniejącem już oddawna Krajowem biurze statystycznem oddział statystyki przemysłu i handlu, którym kieruje dr Tad. Rutowski. Oddział ten zapowiada obecnie cały szereg prac w swoim zakresie, a nadto podjął nadzwyczaj cenne dla kraju wydawnictwo *Rocznika statystyki Galicyi*. Najbliższym celem jego ma być zebranie i uzupełnienie roz-

---

— Wcalem kolana zdarła tem jeżdżeniem po podłodze. Albo i frotyrowanie. Ludzie nie wiadu co wynowią. Jakby to do dusnygo zbawienia potrzebne było. Ale niech je tam!

Już ona woli „frotyrować,“ bo tylko raz na tydzień, a zamiatać musi co dzień.

— Wolałabym śmirć!

I niedzieli wolnej nie ma.

— U ślachcionki obdałam świniom, nadbierałam kartofli na cały dzień, pozmywałam po śniadaniu i do kościoła! Po obiedzie znów zmyłam i albo szłam do kogo, albo do nas przyjdą, z harmoniją nieraz i już całe popołnie moje. A tu od rana do nocy kołomąt.

Toć do kościoła pozwolą, ale cóż jej tam z tego! To jej jeszcze żalu przydaje.

— U nas wesoło. Tu dzwonią, tu grają, a wszędzie znakomki, a tu płakać się jeszcze więcej chce, niż w domu przy robocie.

Cała Warszawa ją przyciska!

Nic jej nie cieszy, nawet komedye.

Zresztą niewiele ich widzi z piętra, a stróż taki zazdrośnik, że każdego z podwórza przegoni, nawet kościarki i „handla.“

I powtarza sobie Marysia sto razy dziennie:

— Maryna, głupia, potrzebnać ty tutaj, nie było ci w Żebrach gnój trząść.

I płacze.

Nos ma zawsze spuchnięty, a gębę czerwoną.

Czego tak ryczy właśnie dzień i noc?

— Moja Ludwilecko, tak oto, używniam sobie. Kogo Pan Bóg chce przykarać, to mu rozum odbierze. Tak i ja, potrzebnam tu. Już ja mam taką naturę, że się nie przezwyciężę, nie wybędę tu miesiąca, tak mi przecie tęskno.

Zresztą wszystko jej się przykrzy. Ona nawykła do ciężkiej roboty, a do tej wcale „niesposobna,“ pamięci także nie ma. Już ona na to nie poradzi.

I z życia niekontenta.

— Ludwilecko kochana — mówi ze łzami — mnie się tu jeszcze ni raz nie odbiło. Jak na wsi podjem, to my się od maltychu do maltychu wciąg odbekuje, a tu ani jedniutki raz.

Bo co znaczy dwie bułeczki i kufelek herbaty.

Przeleci me durch i tyla moigo.

Pszenne ciasto smaczne, lubi je, ale żeby to było dużo, a tu dwie bułeczki, jakby na żarty.

Bodajto micha kluchów i druga kartofli!

— Już ja tu nie przezwyciężę.

Tymczasem dokupuje sobie bułek za własne pieniądze.

— Jak wsunę pięć, to ledwo poczuję.

Ludwileczka zaręcza, że jednak nie zmizerniała, że ma gębę jeszcze okrąglejszą.

— Od tych bułów, Ludwilecko, bo mięso, to mnie nic nie znaczy.

A Ludwileczka woła:

— Marynko, Marynko nie obżeraj się, widzisz ja za wieczorne bułki zawsze pieniądze chowam.

— Głupiabym była, głodem się morzyć. A czy jabym usnęła!

Niech ją tam i Warszawę!

Już ona wróci z żydami, jak przyjechała.

Pani taka prędka: chciałaby i obiad mieć prędko i sprzątnąć prędko, a to się samo nie zrobi, trzeba nad wszystkiem zabawić się. Marynka rusza ramionami i wzdycha. Boże ukrzyżowany!

— E! to się na nic nie zdała taka robota.

Ja ślachcionce odszczekam. Wykłócę się ząb za ząb. Ona mnie słowo, ja jej dziesięć. A tu pani: Marychno, Marychno, ale ciągle rób, ciągle uwijaj się.

Marysia wolałaby usłyszeć jaki przydomek, choćby: licho rozparte, albo szelmo

proszonego w pismach krajowych i wiedeńskich materyału statystycznego o Galicyi, a następnie samodzielne zdobywanie i opracowanie odnośnych danych na każdem polu, pod każdym względem, tak, ażeby „umożebnić — jak mówi p. Rutowski — poznanie jednym rzutem oka, w jakiej dziedzinie odbywa się życie, rozwój i postęp, czy stagnacya i cofanie się.“ Takiego właśnie podręcznika brakowało dotychczas Galicyi, która wogóle ani się liczyła dotąd z faktycznym stanem swego rozwoju, ani posiadała odnośne prace. Jedyne w swoim rodzaju znakomite dziełko tej treści jest chyba *Ludność Galicyi*, zmarłego panslawisty, Wł. Rapackiego, książka, wydana jeszcze w r. 1874, gdy przeciwnie nawet prace Krajowego biura statystycznego pod kierownictwem dra Tad. Piłata są dość liche. Daleko gruntowniej obrabiał pojedyncze działy nieboszczyk Wł. Nawrocki, rusin, lecz jego prace, jako pomieszczane w dziennikach ruskich, nie są dostępne dla szerszej publiczności. Wspomnianego *Rocznika* wyszedł już, w tych dniach, zeszyt I. Zawiera on, na 112 stronicach wielkiej 8-o same tablice, a mimo to, jakże zajmującą, jak wymowną jest jego treść! Umiejącemu czytać te znaki, Galicya, ze swojemi złemi i dobremi stronami, ukazuje się tu wyraźnie, jak w zwierciadle. Podane cyfry odnoszą się: 1) do obszaru, podziału terytoryalnego i ludności; 2) jej ruchu; 3) stosunków zdrowotnych, służby zdrowia, zakładów humanitarnych; 4) stosunków kościelnych; 5) zakładów naukowych; 6) prasy; 7) stowarzyszeń i 8) własności ziemskiej. Każdy z tych głównych działów ma liczne poddziały, których razem jest 133, a z których znowu każdy, zawiera bardzo ciekawy materyał.

Dotkniemy tu tylko niektórych spraw, a przedewszystkiem oświaty. Pod tym względem cała Galicya przedstawia się bardzo źle, albowiem na 1,000 obecnej ludności czytać i pisać umie 227·6 tylko czytać 150·3; nie umie zaś ani czytać ani pisać 1622·1! W tej ostatniej liczbie mieści się 834·2 kobiet i 787·9 mężczyzn. Kobiety galicyjskie, jak zresztą wszędzie, daleko niżej stoją w oświacie od mężczyzn, pod jednym wszakże względem przewyższają one w Galicyi tych ostatnich, a mianowicie, że *tylko* czytać umiejących kobiet jest tu, na 1,000, 80·5, podczas gdy mężczyzn 69·8. Lecz wyższość ta jest pozorną.

Jeszcze smutniej zarysuje nam się ten obraz, jeśli podzielimy Galicyę na wschodnią i zachodnią, tj. na ruską i polską. Otóż spostrzegamy na pierwszy rzut oka, że w czysto polskich powiatach umie czytać i pisać prawie dwa razy tyle, co w czysto ruskich. Kobiety ruskie o wiele gorzej stoją pod tym względem od polskich.

Przyczynę tego ostatniego zjawiska przypisać należy tej okoliczności, że ludność ruska jest wogóle biedniejszą i mniej rozwiniętą ekonomicznie (np. brak kupców i rzemieślników), wskutek czego nie ma ani czasu, ani sposobności do kształcenia się. Nadto zachodzi trudność w samych szkołach ludowych, gdzie zwykle używają jako wykładowego języka polskiego, mimo to, iż w *Roczniku* z ogółu szkół ludowych figuruje aż 51% szkół z ruskim, podczas gdy z polskim ma być tylko 44·92%. To też w ostatnich latach brak szkolnego wykształcenia rusini starają się zastąpić przez własne prywatne instytucye — *czytelnie ludowe*, przeważnie dla młodzieży, opuszczającej szkoły ludowe.

Pod tym względem rusini stoją znacznie lepiej od polaków: gdy bowiem ci ostatni posiadają, według sprawozdań centralnego zarządu, 329 kółek, rusini galicyjscy mają, według wykazów namiestnictwa, 461, zaś według obok umieszczonego zestawienia p. M. Pawlika, nawet 543 ludowych czytelni. Ta cyfra odnosi się do połowy r. z., obecnie jest zapisanych 606 ruskich czytelni ludowych w Galicyi i na Bukowinie, z czego na ostatnią odpada 30. Liczba członków w kółkach rolniczych wynosi 11,705, zaś liczba członków ruskich czytelni w Galicyi, podana w *Roczniku*, 24,443 — według namiestnictwa, zaś według dat p. Pawlika, 29,256. Średnia ilość członków w każdej ruskiej czytelni wynosi, w obu razach, 54, zaś w kółkach — 30. Nadmienić wypada, że co się tyczy stanu bibliotek w czytelniach, to dane w *Roczniku* odnoszą się tylko do kółek rolniczych. Otóż książek posiadają wspomniane biblioteki 12,124 egzemplarzy, zaś gazet tylko 645, podczas gdy ilość książek w czytelniach ruskich Galicyi wynosi co najmniej 100,000 egzemplarzy, gazet co najmniej 1,129 egz. Cyfry te nie potrzebują żadnego objaśnienia. Stan rzeczy jeszcze bardziej zmieni się na korzyść rusinów, jeśli dodamy, że 134 kółek rolniczych z 3,979 członkami wypadało w początku 1886 r. na Galicyę wschodnią, gdzie przeważną część członków naturalnie stanowią rusini. Zauważyć bowiem trzeba, że Towarzystwo kółek rolniczych szlachta i księża założyli nie tyle dla oświaty ludu polskiego, ile dla wzięcia w karby ruskiego (co jednak im się nie powiodło, gdyż naturalnym biegiem rzeczy Kółek rolniczych znacznie więcej powstało w Galicyi zachodniej). I jakkolwiek lud ruski (podobnie jak i mazurski) w Kółkach rolniczych rzeczywiście nie ma głosu (nawet nie może sobie sam wybrać odpowiednich ruskich wydawnictw), to jednak odbywa się tu oświata przynajmniej formalnie — czytanie. O tem zaś, ażeby ruski chłop przejął się tam ideami szlacheckiemi i katolickiemi, nawet mowy być nie może: on milczy wobec dobrodziejów, ale myśli *swoje*. Nadto ruskie czytelnie mają tę wyższość nad polskiemi, że panuje w nich zgoda między ludem a inteligencyą — zgoda zupełna co do kierunku umysłowego, a po części nawet społecznego, podczas gdy ona w Kółkach rolniczych nie istnieje. Nareszcie o jednej jeszcze, a bardzo ważnej różnicy wspomnieliśmy już w przedostatniej korespondencyi. Jest to zbytnia centralizacya, szlachecko-klerykalny absolutyzm w Kółkach rolniczych, a zupełny samorząd i decentralizacya w czytelniach ruskich. Między wszakże pojedynczemi czytelniami ruskiemi nie masz prawie związku, jakkolwiek wszystkie tchną jednym duchem i rozwijają się w jednym kierunku. Ze stolicą spojone są zaledwie o tyle, że w znacznej części należą do obu towarzystw dla oświaty ludowej — „Proświty“ i „Tow. im. Kaczkowskiego.“ Wspólnego zaś organu, dla popierania swych spraw, jak Kółka rolnicze, nie posiadają.

Myśl o podobnem stowarzyszeniu, obejmującem wszystkie ruskie czytelnie — naturalnie z zachowaniem zupełnem ich niepodległości — świtała już nieraz, lecz gasła zupełnie w niechęci ruskiej inteligencyi stołecznej, niewierzącej w możliwość podobnego związku, któryby pogodził wszystkie ruskie „inteligentne“ stronnictwa.

Z *Rocznika* zaznaczyć jeszcze warto, że produkcyjność umysłowa rusinów znacznie się wzmogła w ostatniem dziesięcioleciu. Wydawnictw peryodycznych ruskich jest obecnie w Galicyi prawie trzy razy tyle, ile ich było w r. 1875 (8 i 2), podczas gdy polskich tylko dwa razy tyle, co w roku 1875 (52 i 102). Wogóle, w porównaniu z latami poprzedniemi, Galicya dźwignęła się nieco pod względem umysłowym, prawda, ze znacznemi innemi ofiarami, lecz o tych ostatnich innym razem.

Hucuł.

---

jedna, miałaby pole popisać się ze swoją wymową. I może być, że pani przyłączy który z tych lub innych epitetów, do łagodnego: „Marychno.“ Marysia tem łatwiej może narazić się na coś podobnego, bo sama przyznaje, że jest do niczego.

— Nawet do dziecka nie wiem jak zagadać. Pani rozgniewała się, jak nazwałam bębna „złodziejaskiem.“ Przecie to tylko z żartów. „Złodziejasku“ nie mów, „psi narodzie“ tak samo ni. Przecie każda baba wie, że „koštyrki“ — to nogi, a pani się zdziwiła. Pocóż bachorowi gajdki pozrastały się! Nie wiadu jak dogodzić.

Wszystko Marysi dokucza.

Raz jeden rozweseliła się.

Była w niedzielę w Saskim ogrodzie i zaczepili ją.

— Siostrzycko kochana, taki pan w kapelusie, zacypił me. Mówi: pani pewno ze wsi. Ale mu przecie z gęby tak buchnęło! Usiad przy mnie i pejda, że to nieprawda, żebym ja pięć lat w Warsiawie była, bo ja wydaje na wieską. A potem lazł za mną; to co ja odejdę kawałek, to on psyta. To ja przyglądam się sklepom, to on znowu zacypia. Ja panią odprowadzę. To ja znów odejdę. To ci Ludwicku siedł za mną i psyatł, właśnie do samej bramy.

— Jabym mu popsytała!

Ale Ludwisia tylko tak mówi, bo i ona lubi jak ją zaczepiają.

Naśmiały się obie. Marysia kilka razy jedno i to samo powtarza.

Bardzo jest rada. Ona bo zawsze miała się za „taką oto kobietę,“ niby nieładną.

— Gdzie mnie tam o chłopie myśleć. Któryby mnie wziął, niesykownam i biedna sierota. Dopiero te warsiaskie kawaliry namolne.

Ona kwituje i z „zacypków,“ a w Warszawie nie zostanie, choćby jej tu zaraz sto rubli kładli.

Sama stara się dla pani o służącę.

Każdą młodą dziewczynę, co się po ulicy rozgląda, pyta: może panna miejsca szuka, to ja nastręczę.

I sprowadza różne. Chwali przytem, że służba dobra, tylko jej tak na wieś tęskno, bo ona jest wieska.

I pani perswaduje. Mogłaby wziąć tę, co taka „skietowana“ gorsetem. Miła na twarzy i chwali się, że nie ma takiego ordynarnego wychowania, jak inne sługi.

Udało się jednak Marysi wynaleźć.

— Akurat taki sam głąb, jak i ja, śmieje się do Ludwisi.

No już teraz nikt jej w Warszawie nie zatrzyma.

Jedzie na furze żydowskiej, jak i przyjechała. Czuje kufer pod własnym łokciem, a na kolanach pełną chusteczkę bułek.

Korcą ją, zjadłaby odrazu wszystkie, ale sobie myśli, że nie miałaby o czem dojechać.

Jeżeli nie drzemie, to myśli o swoich Żebrach, o kluchach i razowcu. Im bliżej domu tem większe rozrzewnienie ogarnia ją, ale i większy głód.

Nie ma nawet z kim podzielić się wrażeniami; jadą tym razem sami żydzi.

Niech tę Warszawę! Co zarobiła przez miesiąc wyda teraz na podróż.

— Darmo służyłam — powtarza sobie na pół z płaczem.

Daje sobie słowo, że już nie wspomni, ani o Warszawie, ani o służbie.

— Zgłupili me ludzie i zgłupili.

Już się teraz ze wsi nie ruszy, chybaby na odpust.

X. X.

BADANIA NAUKOWE.

FILOZOFIA.

KANTYZM I PRZYRODOZNAWSTWO.

I.

> Na stanowisku chwili obecnej nie jest przypuszczalną żadna zgoła filozofia bez ścisłego badania; również i ścisłe badanie potrzebuje nieustannego oświetlania przez krytykę filozoficzną.
>
> *F. A. Lange.*

Od lat kilkunastu najbardziej zasłużeni pracownicy na polu przyrodoznawstwa wypowiadają poglądy filozoficzne, które w zasadniczych myślach swoich blizko spokrewnione są z *Krytyką czystego rozumu*. Nauka olbrzyma królewieckiego, zasypana niegdyś łupinami idealizmu i przywalona rupieciami materyalizmu dogmatycznego, zmartwychwstaje teraz poważna, wielka, wskrzeszona przez ludzi, którzy wysondowali głębie i zmierzyli szczyty współczesnej wiedzy.

Ciekawy ten objaw możnaby nazwać atawizmem w filozofii. Jeśli powrót do Kanta oznaczyć można jako ogólne hasło *) dzisiejszych kół filozoficznych, to przyznać trzeba, że wydali je właśnie koryfeusze przyrodoznawstwa, że wśród nich najgłówniejszem odbiło się ono echem i przez nich najpochopniej podjętem zostało.

Drogą, która doprowadziła badaczów przyrody do kantyzmu, były przeważnie studya nad funkcyami organów zmysłowych, a punktem zetknięcia się z zasadami *Krytyki czystego rozumu* — teorya poznania.

Stary Kant nauczał: w doświadczeniu rozróżniać należy dwa czynniki: jeden, pochodzący z zewnątrz, od przedmiotów, i drugi, płynący z istoty osobnika poznającego— z podmiotu.

Ten drugi czynnik, tkwiący już w naszej organizacyi *a priori* i przed wszelkiem doświadczeniem (z Langem określić go można jako nasz ustrój psycho-fizyczny), odciska swe piętno na naszem doświadczeniu i zmusza nas poznawać w taki, a nie inny sposób. Skutkiem tej zależności nasze pojmowanie świata zewnętrznego nie może być ściśle przedmiotowem i jako uwarunkowane naszym psycho-fizycznym ustrojem, różnić się zupełnie może od pojmowania tego świata przez inne, inaczej uorganizowane istoty. Kant wypowiedział to przez znane orzeczenie **), że „poznanie nasze nie kieruje się według przedmiotów, lecz przedmioty według naszego poznania,“ albo wyraźniej jeszcze w następującem zdaniu ***): „nasze wyobrażenie o rzeczach nie kieruje się według nich, jako rzeczy samych w sobie, lecz one jako zjawiska, kierują się podług właściwego nam sposobu spostrzegania.

„Rzeczą samą w sobie“ (das Ding an und für sich) jest tutaj rzecz o absolutnej przedmiotowości, bez względu na organizacyę badających ją istot; jest nią owo „coś,“ które jako przyczynę subjektywnego czucia odnosimy na zewnątrz. W naszem poznaniu „rzeczom samym w sobie“ odpowiadają „zjawiska.“ Zjawiskiem jest oddziaływanie rzeczy samej w sobie, zmodyfikowane przez nasz ustrój psycho-fizyczny. W wytworzeniu zatem zjawiska przyjmują też udział: nasza zmysłowość i prawa naszego rozumu. W doświadczeniu mamy do czynienia tylko ze zjawiskami; rzecz zaś sama w sobie jest niedościgłą, wiecznie nieznaną, stanowi granicę dla nas i wszystkich istot podobnie uorganizowanych.

„Ta prosta prawda — powiada jeden ze współczesnych nam przyrodników — jest najgłębszą i najwyższą myślą, jaka kiedykolwiek w duchu ludzkim powstała.“

Ale nie była ona taką dla bezpośrednich następców wielkiego filozofa, którzy odziedziczyli przedewszystkiem jego błędy. Z nauki mistrza brali krzemienie, a zostawiali brylanty. Nie zwrócili bynajmniej uwagi na te wspaniałe myśli, które jak gwiazdy pierwszorzędne w *Krytykach* jego błyszczały, lecz na najciemniejszych punktach jego poglądów budowali niebotyczne piramidy swych systemów. Szarą siatką swego mistycznego idealizmu zakryli wkrótce świetlane jądro nauki kantowskiej. W epoce dysput o identyczności bytu i niebytu i rozpraw o samo siebie pojmującem „ja,“ w epoce fantastyczno-mglistego idealizmu, którego prąd był tak silny, że porwał w swe wiry najbardziej nawet krytyczne umysły, zapomniano też w zupełności o granicy, którą postawił był Kant naszemu poznaniu przez wskazanie różnicy między rzeczą samą w sobie a zjawiskiem i rzucono się do wznoszenia gmachu wiedzy bezwzględnej.

Ten pogląd na poznanie mają szkoły idealistyczne wspólny z materyalizmem; podczas jednak gdy Hegel np. starał się przepaść między „istotą a pozorem“ zapełnić przynajmniej frazesami i wykrętami dyalektycznymi, materyaliści powołują się tylko na zmysłowość. Zdaniem ich świat jest takim, jakim go poznajemy za pomocą zmysłów. „Tylko zmysłowość jest prawdą i rzeczywistością“ — mówi Feuerbach.

Ten punkt właśnie jest najsłabszym w materyalistycznem pojmowaniu świata; z tej strony też do warowni materyalizmu przypuszczono nieodparty atak, a uskuteczniło go przyrodoznawstwo, nauka, którą materyalizm nazywał swoją matką. Twórcy materyalizmu nowożytnego starali się zawsze poglądy swoje opierać na zasadach badania ścisłego; uważali oni hasła swoje wprost za rezultat zestawienia wyników przyrodoznawstwa i ujęcia ich w całość. Było to jednak tylko w części słusznem. Przyznać można, że apostołowie materyalizmu, aczkolwiek sami mocarzami nauki nigdy nie byli, zdobycze jej na korzyść i poparcie swych poglądów spożytkować umieli; że przekonania ich zyskiwały do pewnego stopnia na wziętości, w miarę tego, jak mężniało przyrodoznawstwo i że niektóre zasadnicze ich pojęcia skrystalizowały się prawie jednocześnie z powstaniem kilku wspaniałych teoryj naukowych. Pomysły Moleschotta, Vogta i Büchnera wyrosły w atmosferze duchowej, która nosiła już w sobie zarodki darwinizmu i zasady prawa zachowania energii. Przyznać również należy, że reguła materyalizmu — tłomaczenia wszystkich zjawisk ze światem organicznym włącznie przez sprowadzenie ich do praw fizyki i chemii, jako przyrodnicza metoda badania, okazała się nadzwyczaj pożyteczną i w rezultaty płodną. Niejedno złote jabłko wiedzy na tem drzewie wyrosło i nieraz już mgłę w nauce tem światłem rozproszono. Ale z tego też stanowiska (i z tego jedynie) nie myśli nikt wypierać materyalizmu. „Zadaniem naszem i powinnością jest — powiada Kant — wszystkie zjawiska i wytwory o tyle tłomaczyć mechanicznie, o ile jest w naszej mocy.“ W innem znowu miejscu mówi: „Wszelka wiedza o rzeczach, pochodząca tylko z czystego rozumu, lub czystego rozsądku, jest pozorem; tylko w doświadczeniu leży prawda“ *). Niedostępność bowiem rzeczy samej w sobie nie wyklucza zupełnie badania naukowego. Dla nas rzeczy istnieją w zjawiskach i jako takie studyom naukowym podlegać mogą. W studyach zaś tych materyalizm jest metodą bardzo dobrą. Ale inaczej się kwestya przedstawi, gdy zapytamy: czy świat zjawisk jest rzeczywistością, a jeśli nie, to czy ta ostatnia jest dla nas wogóle dostępną? Na to pytanie odpowiadają przecząco zarówno Kant, jak i wielu wybitnych przyrodników dzisiejszych. W tem miejscu przyrodoznawstwo nie przyznaje się do materyalizmu i zapiera się rodzicielskich względem niego stosunków.

Wyniki badań fizyologicznych przeważnie nad funkcyami organów zmysłowych były tą siłą, która przerzuciła wielu przyrodników z obozu materyalizmu na stanowisko, jakie względem teoryi poznania zajmował już Kant. Ta dziedzina fizyologii narzuciła badaczom przeświadczenie, że w pojmowaniu świata zależni jesteśmy od naszej organizacyi, że czucia nasze są czemś innem, niż te bodźce zewnętrzne, które je powodują, że skutkiem tego zadanie nasze nie może być przedmiotowem, że mamy w niem do czynienia ze zjawiskami, wyobrażeniami, obrazami, ale nie z rzeczami samemi w sobie i że przedmiotów samych materyi, atomów objektywnie poznać nie możemy. „Zmysły dają nam — mówi Helmholtz — skutki rzeczy, nie zaś wierne obrazy, a tem mniej jeszcze rzeczy same.“

Te tak bliskie nauki Kanta poglądy były przekonaniami dwu pierwszorzędnych, niedawno zmarłych uczonych niemieckich, sławnego anatoma Henlego i botanika Brauna. Z współczesnych zaś widzimy pod sztandarem krytycyzmu: Du Bois-Reymonda, Helmholtza, Leuckarta, Leydiga, Weissmana, Tyndalla, Huxleya i innych.

Silnie i dobitnie wyraził swoje wyznanie wiary pod tym względem Du Bois-Reymond w pamiętnym odczycie 14-go sierpnia 1872 r. na zjeździe przyrodników niemieckich w Lipsku. Kilku rysami zakreślił on wtedy „granice poznania natury“ i zaznaczył istnienie dziedziny, której progu nigdy nie przestąpimy. Wszystkie zjawiska otaczającego nas świata— powiedział wówczas znakomity fizyolog berliński — zostaną niegdyś, o ile dotychczas nauka tego jeszcze nie uskuteczniła, bez najmniejszej wątpliwości sprowadzone do ruchu atomów. Zarówno własności ciał nieorganicznych, jak i powstawanie organizmów wyjaśnione będą zapewne przez mechanikę atomów. Znajomość zaś nasza tej mechaniki może się stać szczytnie doskonałą, może być taką, jaką ją wymarzył Laplace dla swego wszechwiedzącego ducha; może być tak dokładną, że ze stanu wszechświata w jakiejkolwiekbądź chwili będziemy mogli określić stan jego dawniejszy, jako mechaniczną przyczynę lub następujący w kolejności czasu bezpośredni skutek stanu danego.

A jednak... stojąc tak na wyżynach poznania i mogąc spojrzeniem w przyszłość ogarniać i z astronomiczną ścisłością przepowiadać oczekujące ją losy lub w przeszłości z taką samą dokładnością widzieć przyczyny zdarzeń, które już tysiącami lat odgrodzone zostały, ludzkość będzie miała jeszcze na swoim jasnym widnokręgu dwa ciemne punkty, dwa zagadnienia, których rozwiązać nie będzie w stanie: nie pojmie nigdy atomów i nie zrozumie powstania świadomości. Najgruntowniejsza znajomość procesów fizycznych, zachodzących w mózgu i najmniej wątpliwe dane o zmianach i przemianach w tkankach i komórkach mózgowych, nie wyświetlą nam jeszcze najprostszego faktu świadomości; będzie można skonstatować tylko, że pewnym jej stanom towarzyszą pewne ruchy cząsteczek mózgu; ale pozostanie dla nas niewytłomaczonem, jak ruch materyalny przechodzi w czucie, jak on wywołać może wrażenie słodyczy lub zapachu, cierpienie lub rozkosz. „Przez żaden pomyśleć się dający układ lub ruch materyalnych cząsteczek — powiada Du Bois-Reymond — nie przerzucimy pomostu do dziedziny świadomości.“ „Z pierwszem powstaniem bólu lub przy-

---

*) Tak nie jest i wogóle musimy zastrzedz częściową niezgodę z wywodami autora, przeceniającego, zdaniem naszem, wielkie skądinąd znaczenie Kanta. *Red.*

**) Przedmowa do 2-go wyd. *Kr. cz. roz.*, wyd. Kirchmana, str. 28.

***) Tamże, str. 30.

*) Prolegomena, 141.

jemności, jaką na początku zwierzęcego żywota poczuła najprostsza jakaś istota" „lub z pierwszem poczuciem jakości stanęła owa nieprzebyła przepaść i świat w tym kierunku stał się niepojętym."

Te poglądy, które na autora ich ściągnęły z jednej strony, a mianowicie z obozu materyalistów, wyrazy oburzenia, nadziane krzywdzącemi posądzeniami, z drugiej zaś, ze strony teologii, która chciała przy tej sposobności zalecić swój kramik nieomylnych środków na wszelkie dolegliwości, jeszcze bardziej przykre może pochwały, dzieli z Du Bois-Reymondem spora garstka przyrodników. Są one przeważnie przekonaniami ludzi, którzy pomimo specyalnych na pewnem polu studyów o tyle zachowali siłę wzroku umysłowego, że mogą ogarnąć pozostałe obszary wiedzy z ich zagadnieniami i trudnościami.

(D. n.)

M. Kaufman.

EPIDEMIA PESYMIZMU.

II.

Tak jest, z przykrością wypada podkreślić smutny objaw, że w poważnych sporach o zasady i poglądy filozoficzne, o gusty i upodobania literackie wtrąca swój chrapliwy głos naukowa niesumienność i zła wola. Tam, gdzie sprawdzianem płodu umysłowego jest wiedza, połączona z bezstronnością, do tak wątpliwego oręża uciekać się niema potrzeby; ale u nas nie gardzą żadnym gałganem, żadnem, choćby najwstrętniejszem błotem, byle nienawistny kierunek obryzgać. Że jednakże naiwny nawet prostak nie uwierzy w gołosłowne pewniki i przedewszystkiem pyta o dowody, o fakty — a tych koteryjna zawiść nigdy nie ma, więc się chwyta pierwszy lepszy stan chorobliwy, jakich każde społeczeństwo przebywa naraz kilka i woła: oni są sprawcami złego, ukamienować ich — a łatwowierny ogół temu krzykowi wtóruje. Podochocony mową Antoniusza nad zwłokami Cezara motłoch rzymski łapie przechodnia i rozszarpuje — co go obchodzi, że biedak nic nie winien, skoro się nazywa Casca, a Casca unurzał ręce we krwi byłego dyktatora! Zgłodniałe pospólstwo rzuca się wściekle na czarownicę, bo księża powiedzieli, że ona ściągnęła klątwę na zboże. Taką jest sprawiedliwość ludu. Na niej to grają wrogowie światła, żeby jego krzewicieli zbezcześcić, zdyskredytować wobec wszystkich, co nie mogą sięgnąć do jądra sprawy i oskarżenia zrewidować.

W naszem życiu, wygodnem do podobnych celów narzędziem bywa pesymizm. Ten i ów przemawia w duchu jego, bierze ryczałtem wszystkie jego odkrycia, notuje skrzętnie zarzuty przeciw różowym na świat spojrzeniom, zbiera dane statystyczne chorób i nędzy, trapiących ludzkość, ale nie z przekonania, nie ze zniechęcenia do życia, boć w niem pola dla kłamstw i oszczerstw nie brak, ale by módz tonem Filipa z Konopi krzyknąć: oto owoce pozytywizmu, empiryzmu i rozmaitych innych „izmów"! Pesymizm ogarnął umysły, bo i czyż mogło być inaczej? Rozpacz — to beznadziejność, to brak wiary, a któż wiarę odbiera cierpiącym, jeśli nie ateusze, postępowcy, nieprzyjaciele idealizmu?

Warto posłuchać tego dowodzenia w formie, w jakiej płynie z pod pióra autorów. Jeden z nich, p. Dębicki, prawi: „Oto... rozbestwiona zgraja, ślepe narzędzie ukrywających się hersztów, rabuje domy żydowskie, kąpie się w wódce, znęca nad bezbronnymi, pustoszy i niszczy. Co znaczy ta orgia, ten krzyk i wycie? To praktyczne lekcye materyalizmu, który słowem i pismem wykładają ludowi jego liberalni i socyalistyczni nauczyciele, to tryumf zasad: głupstwem jest moje, głupstwem i twoje życie: jednego zbraknie i drugiego zbraknie, a dziury w niebie nie będzie; człowiek jest zwierzęciem nieodpowiedzialnem za czyny; nie ma Boga sprawiedliwego, nie ma ducha nieśmiertelnego, wszystko się kończy ze śmiercią" itd.

Gdzieindziej deklamuje znowu: „Hasła takie, jak: równość, wolność, szczęście przyszłych pokoleń, obowiązki obywatelskie itp. przydać się mogą... retorom i literatom, ale długo niemi ludzić świata nie można. Olbrzymia większość rodu ludzkiego... dla której życie jest brzemieniem i jarzmem, ta schwytać się nie da na lep marnego frazesu."

A przecież dała się złapać, bo oto autorowi, tak dobrze obznajmionemu z dążeniami filozofii postępu, nietylko hucznie przyklaśnięto, ale porównano go nawet do... Pawła Janeta. Rzecz dziwna, jak to nawet uczeni umieją się mijać z najpospolitszą prawdą faktyczną. Kto pierwszy wypuścił sforę żydożerczych brytanów? Apostoł Stöcker. Kto wielką jego naukę rozplenił po wszystkich zakątkach świata — w Austryi, Francyi, w Polsce? Wszędzie prawowierni synowie kościoła katolickiego — toż antysemityzm używa nawet odpowiedniego *nom de guerre*: chrześciańskiego socyalizmu. Pokażcie nam jeden kraj, jedną literaturę, jedno dziennikarstwo, w którem żydożerca nie byłby synonimem klerykała, a zatem bezwzględnego posłuszeństwa dogmatom.

Ale idźmy dalej: „Wobec grozy położenia, w jakiem znajduje się społeczeństwo dzisiejsze, pytam wszystkich szlachetnych i bezstronnych ludzi... jestże większa zbrodnia względem szczęścia i postępu ludzkości nad szerzenie doktryn materyalizmu, kruchych wprawdzie jak szkło... ale ponętnych jak zwykle trucizny, a stokroć zgubniejszych niż one."

Jest, jako żywo, jest! A tą — plwanie na naukę, zohydzanie podniosłych godeł, któremi się chlubi wiek dziewiętnasty, a przedewszystkiem rozmyślne paczenie treści powyższych doktryn i rozprawianie o nich mimo głęboką niewiadomość. Stu „bezbożnych," nieumiejących wyobrazić sobie przyczyny wszechrzeczy w postaci namacalnej i dotykalnej, nie przyniesie tej szkody społeczeństwu, jaką jeden krzykacz niepoświęcony lub fanatyczny wyrządzić może przekrzywianiem faktów. To nie sztuka wyciągnąć z lamusa jakieś stare, podarte i zbutwiałe sztandary i niemi straszyć oświecony świat. Potrzeba zbadać najpierw, czem jest „pozytywizm," czy istnieje on wogóle gdziekolwiek prócz wylęknionej wyobraźni oskarżycieli i czy w piśmiennictwie polskiem jest choć jeden jego poważny wyznawca? Na zachodzie słowniki samego wyrazu dawno się wyrzekły, jak się wyparły materyalizmu — tam zaledwie jakiś zapóźniony ciura chrzci nim stronników filozofii przyrodniczej, a tutaj ludzie mogą jeszcze bez niesmaku klepać go, jak baby podkościelne — swe pacierze! Zresztą, nic dziwnego: do tego ani trudu, ani rozumu nie potrzeba. Doprawdy, gdy się tysiące razy słyszy ten bełkot papuzi, zaczynają się w głowie mieszać pojęcia i rodzić wątpliwości: prawdaż jest to, że Comte nie gorzej od Kanta przeczuwał niezbadaną po za sferą zmysłów tajemnicę, że z namaszczeniem korzył się przed nią; prawdaż jest, że Spencer klęka przed „Niepoznawalnem" i tak często o Najwyższej zasadzie wspomina; prawdaż jest, że nie ma pod słońcem człeka religijniejszego nad Rénana? A przecież myśl dzisiejsza każdem słowem przyznaje swą niemoc wobec odwiecznych zagadek bytu i niema już chyba nikogo ani u nas, ani o tysiąc mil dalej, ktoby je przeczył się osmielił. Prawda, było kilku, którym się zdawało, że chemia i fizyologia objaśniły im dostatecznie pojawy ducha, ale i ci co chwila zdradzali samych siebie, jak tego dowiódł o Büchnerze, Strausie, Molleschocie i innych Lange. Pierwszego z nich uczepili się mędrcy nasi i z niego miarę wzięli dla reszty myślicieli, uznając pewnie za stratę czasu zajrzeć do ich serc i umysłów. Nie, panowie *à la* Paul Janet, wasz imiennik zbadał więcej niż jedną marną książczynę. Ani on, ani jemu podobni nie wieszają też psów na utylitaryzmie, bo rozumieją tkwiącą w nim głęboką ideę humanizmu, bo wiedzą, że Mill cierpiał i męczył się, gdy nie działał dla szczęścia ogółu, właśnie dlatego, że etykę pożytku głosił, że nawet Haeckel początkowo, tak do materyalizmu lgnący, piorunował z całą wymową marzyciela i ogniem młodzieńczym przeciw tym, co pragnęliby pogląd przezeń wyznawany zastosować no moralności i życia.

Drugi bard pesymizmu wypisuje swe elegie na łamach *Niwy* *). Co prawda, to można mieć przyjemność rozmawiania z nim. Dowodzi ponętnie, a myśli owiewa poetyckiem tchnieniem ewangelii i pism proroków. Szkoda tylko, że nadmierne zamiłowanie do psalmów i teologicznej łaciny spowodowało grubą jednostronność i co za tem idzie, nader niedokładne, nie powiem już wczytanie, ale przyjrzenie się fizyognomiom pisarzów, mniej zdolnych do ekstazy religijnej. P. Jasieńczyk nie jest autorem tak gniewnie i wybuchowo usposobionym, jak jego współszermierz; stąd też i nie tak bezwzględnym chwalcą swoich ideałów, ani tak powierzchownym i rezolutnym sędzią — przeciwnych. Z tem wszystkiem wycieczki jego również często chybiają, a liczne cytaty, pomimo żądzy podkopania się głęboko pod mury wrogiej mu twierdzy — również małe szczerby w niej sprawiają, w również fałszywem ukazując ją świetle.

Nastrój tej pracy nie jest tak rozpaczliwym, jak dzieła poprzedniego. Nie masz tu tak gorączkowego gromadzenia faktów i danych statystycznych, ani tak pohopnego skazywania na śmierć pragnień i marzeń wykwitłych na gruncie filozofii ścisłej. Tamto zdradza w swoim twórcy bezdenne zwątpienie, niesłychaną czczość, o którą najwidoczniej przyprawiły go losy własne w skojarzeniu ze zbytnią ufnością w powaby życia, to zaś wyraża troskę o owoce niewiary, rozsianej dziś po świecie i z względnym spokojem waży to, co t. z. pozytywizm ofiaruje ludzkości w zamian za wiarę i jej pociechy. Ciosy, wyznać trzeba, skierowane są we właściwą stronę, acz nie tyle to jest zasługą autora, ile mistrza jego Mallocka, na którym się całkowicie opiera, parafrazując gotowe dowody i uzupełniając je tylko własnemi i wybitnych umysłów spostrzeżeniami. Być może, że dzięki temu jedynie wyklinanym szkołom przyznane zostały mniej zbójeckie intencye, a idee ich przewodnie zgodniej z prawdą określone, co znowu nie przeszkadza nierozumieniu ich, graniczącemu z naiwnością złotego wieku, oraz wnioskom dziwacznym **).

Nie będę autorowi towarzyszył w wyprawie przeciw sprawcom zamachu na autentyczność wypadków i osób, które są podmurowaniem chrześciaństwa; nie mamy tyle odwagi cywilnej, by, jak on, w kilku wierszach rozprawić się z powagami świata uczonego, obrzucić ich jak Burnoufa (!) przekąsem, z jakim zwykle zwracają się do żaków szkolnych; przejdę też wprost do głównych zarzutów.

P. Jasieńczyk łaskawie zgadza się na to, że myśl doświadczalna, rozpanoszona dzisiaj, na równi z innemi, usiłuje rozwiązać zagadki moralności i szczęścia; że dąży szczerze do najwyższych celów bytu zbiorowego, ale zaprzecza mu możności osiągnięcia ich. Bez domieszki religii żadne choćby najszczytniejsze pragnienia zostać muszą jałowemi. Czegóż bowiem uczy etyka pożytku?

---

*) „Wartość życia," Bronisława Jasieńczyka.

**) Z utworem Mallocka niżej podpisany starał się już lat temu trzy obznajmić koła postępowe i bezzasadność ostatecznych jego wywodów wykazać.

że bodziec i pobudka do czynów dobrych tkwi nie w nas samych, nie w wewnętrznej czci jakiejś idei pozaziemskiej, nadprzyrodzonej, lecz w przeświadczeniu, że sprawa ogółu, społeczeństwa wymaga tego. Rozkazem i przewodnikiem dla nas jest dobro powszechne, które nie może zapanować nad umysłem, popędami i uczuciami człowieka i pchać go wyłącznie na drogę obowiązku. Wyznawcy takiej moralności, licząc na jej zbawienność, oszukują sami siebie i choćby nie wiem jak silnie bili na cnotę dla cnoty, będzie ona zawsze zawisłą od sądu podmiotowego. W obrębie wału, którym pozytywizm się opasał, może on żyć i myśleć zbrodniczo, byleby nie ranił tem i nie szkodził bliźnim — taka etyka nie jest zatem bezwzględną, nie opiera się o idee wieczyste, boskie, wobec których najstaranniej nawet ukryty w piersi chwast, niekolący nikogo — zawsze grzechem pozostanie. „Kto upadł w walce i nie powstał, choćby ten upadek był tylko wewnętrzny i tajny przed światem, obłuda nie da mu szczęścia ani poczucia własnej godności.“ Jakkolwiek więc obyczajowość taka wypisuje na swym sztandarze te same, co i każda inna, godła, mimowoli musi im się sprzeniewierzać, podeptawszy sankcyę bóstwa i nieśmiertelności.

Gorzej dzieje się, według autora, z pojęciem szczęścia. Czynnikami jego w mniemaniu „pozytywistów“ są: 1) szlachetny charakter, 2) miłość, 3) kult ideału i 4) prawda, czyli mniej więcej to samo, co ożywia każdego syna Chrystusowego. Ale jakaż przepaść pomiędzy hasłem a rzeczywistością! Zalety ducha, bohaterstwo, poświęcenie dla drogich istot — wszystko to jest wyłącznym przywilejem wiernych; socyolog, uświęcający moralność tylko symbolem pożytku ogólnego, jest jako u muzułmanów giaur, pies nieczysty, którego samo dotknięcie zaraża. Tem się tłomaczy, według p. Jasieńczyka, który jest może łagodniejszym w formie, lecz również dosadnym w treści, straszliwy spadek poziomu obyczajowego w Stanach Zjednoczonych; tam apostolstwo etyki szczęśliwości, odarte z uroku wiary, sponiewierało święte węzły, pokalało wszelką czystość i niewinność — i dziś niema tak wyrafinowanej rozpusty, tak wyszukanego łotrostwa, jakich by się mieszkańcy tego nieszczęsnego kraju nie dopuszczali. Dowodem też i tacy publicyści, których wybór rozumie się odpowiada założeniu.

(D. n.)

N. Hirszband.

KARTKA Z DZIEJÓW LUDZKOŚCI.

III.

Epidemie wiedźmowskie.

Skreśliwszy genezę i zawartość pojęcia średniowiecznej wiedźmy, przechodzimy do krwawych dziejów prześladowania. Z tego, cośmy rzekli dotychczas, czytelnik pojmie, że sama ta sprawa właściwą jest najrozmaitszym ludom, tylko kiedy te ostatnie prześladowały wyłącznie czarodziejów, posługujących się gusłami w widokach zemsty prywatnej, tymczasem w Europie poddano prześladowaniu wszystko, co zdradzało jakąkolwiek styczność z poglądem na świat przedchrześciański. W odróżnieniu od tamtych dorywczych, a przedewszystkiem pojedynczych prześladowań, wydźwignięto tutaj pogonie masowe i systematyczne. Zresztą i w tym względzie możnaby wyszukać niejakie pokrewieństwo w kafryjskiem państwie Marutse-Mambunda. Jego samowładca łączy w sobie godność wielkiego znachora i czarodzieja, a swej potęgi duchownej używa na uprzątanie żywiołów politycznie niechętnych, traktując je jako czarodziejów prywatnych, i następnie na przebudzenie w swych poddanych uczucia postrachu i wierności; tym sposobem, jako znachor, wzmacnia swą władzę polityczną i tylko dzięki wyzwanej stąd panice może utrzymać zwierzchnictwo nad 84 plemionami i milionem z górą ludzi. Ludność pełna przesądów z nieufnością spogląda na każdego, kto czyni cokolwiek niezwykłego. Samotna przechadzka w mało uczęszczanych miejscach i o późnej godzinie, długie rozmowy z samym sobą, a zwłaszcza najmniejsza wątpliwość o sile czarów wielkiego znachora — wszystko to wystarcza, ażeby śmierć uniosła jedną ofiarę więcej. Podobną atmosferę duchową odnajdujemy w Europie XII—XVII wieków; dla uprzytomnienia jej odmalujemy stan umysłów Szkocyi XVII w. *).

Naówczas powszechnie sądzono, że świat roi się złymi duchami, usiłującymi kusić i szkodzić ludzkości; liczba ich była niezmierzona (według wyliczeń dochodziła 7,405,926); znajdowały się wszędzie i o każdej porze, w najrozmaitszych kształtach. Kaznodzieje nieustannie o nich mówili, przygotowując słuchaczów do odparcia mocy nieczystych. Lud skutkiem tego tracił zmysły ze strachu, a gdy z kazalnicy mówiono mu o szatanie, po kościele rozlegały się westchnienia i jęki; wierni, strętwiali i oszołomieni grozą, słuchali nieraz jak przykuci do ławek, pomimo iż tchu im brakło i włosy stawały z przerażenia. Straszne obrazy pozostawały wyciśnięte w umyśle, towarzyszyły ludziom do domu i nie opuszczały śród zatrudnień codziennych: wierzyli, że szatan jest tuż w pobliżu, że goni, przemawia i kusi — nie było przed nim żadnej ucieczki, szmer raptowny i nawet widok nieruchomego kamienia wskrzesał w pamięci złowrogie groźby kaznodziejów. Tymczasem wszystkie kazania ku jednemu zmierzały celowi: głównem ich zadaniem było obudzenie przestrachu. Duchowieństwo chlubiło się, że w posłannictwie jego spoczywa głoszenie klątwy i gniewu bożego. Obwieszczało, że cała ludzkość, z małym wyjątkiem, przeznaczoną jest na potępienie nieczyste; rozkoszowało się w zapowiadaniu słuchaczom, że będą smażeni w wielkim ogniu i wieszani za języki, smagani skorpionami i wrzuceni w kipiące oleje i roztopiony ołów. Łatwowierny lud słuchał i wierzył, bał się posłuchać muzyki, lubować w pięknej okolicy. Grzechem bowiem było i matnią biesową wszelkie uczucie, towarzyska uciecha, drobna przyjemnostka, wesołe usposobienie; grzechem było, ażeby matka pragnęła mieć synów, a jeśli ich miała, troszczyć się o ich pomyślność. Uśmiechnąć się jeszcze czasami było wolno, byle nie zbyt głośno, a i tego zabraniano w niedzielę. Zakazywano w święta nawet mężowi całować żonę, a matce — dziecko. Przejęci głęboko zasadami religijnemi nie uśmiechali się nawet w dnie powszednie, lecz wzdychali, jęczeli i płakali; niektóre osoby wskutek takiego duchowego pokarmu odchodziły od zdrowych zmysłów, a porwane szałem religijnym, odbierały sobie życie w czarnej rozpaczy.

A teraz proszę przedstawić sobie podobne zachowanie się duchowieństwa i stan pokrewny umysłów wśród ludu w całej zachodniej Europie wieków XII—XIV z uwzględnieniem ówczesnych klęsk i niepokojów. Naprzód w w. XII, zaczynają podnosić głowę herezye masowe; widziano w nich dzieło szatana, głoszono dla ich zmiażdżenia wyprawy święte, broczono w krwi tysiąców (wojna „święta“ przeciwko albigiensom). Wyprawy krzyżowe pozbawiają Europę mężczyzn i pozostawiają masy niezaspokojonych w swych potrzebach kobiet. Głód panuje często, zwłaszcza wobec podjazdowej wojny baronów, niszczącej sprzęty rolnika. Chłopstwo, coraz silniej kneblowane w jarzmo pańszczyźniane, krwawemi drgnieniami żakeryi protestuje przeciwko pańszczyźnie, lecz napróżno. Klasztory porywają w swe mury jednostki najwrażliwsze i tu poddają ciało udręczeniu, postom, puszczaniu krwi, i przez takie wynaturzenie stwarzają fanatycznych siepaczów, którzy, doprowadzeni umartwieniem ciała i upływem krwi do rozstroju w organizmie, rozdrażnieni ascetyzmem płciowym, wpadają w szał erotyczno-krwiożerczy*) i chcieliby w niwecz obrócić wszystko uśmiechające się zaspokojeniem. Lubują się oni w krwi własnej, w publicznem biczowaniu nagiego karku, w przewodniczeniu krwawym łaźniom sprawianym dla heretyków, w torturowaniu nagich wiedźm i miotaniu z kazalnicy obelg na wszystko, co tchnie normalnem użyciem świata. Tym fanatykom, którzy wyrzekli się świata doczesnego, przed oczami wciąż stoją sceny sromotne, odganiają je oni surowością.

Roztoczyliśmy przed czytelnikiem obrazy z w. XVII w Szkocyi. O ileż posępniejszemi musiały być one w XII—XIV, kiedy zradzała się inkwizycya, to grono halucynacyjne opętanych szałem wspomnianym mnichów, kiedy w powietrzu unosiły się ciągle zarazy, na ziemi potoki krwi czerniały, a głód dziesiątkował ludność. Widziano wszędzie rękę szatana; w bogu oglądano „regem tremendae majestatis.“ Złowrogie usposobienie epoki odbija się nawet w rzeźbie i malarstwie: rzeźby na katedrach przedstawiają ludzi, klęczących przed Antychrystem i składających mu hołdy, pędzel zaś zaczyna kreślić tematy ponure z tańca śmierci. Wreszcie wtarga dżuma czarna, po niej następują poruszenia epidemiczne wieku XIV z swem masowem głoszeniem potęgi dyabła, w ciągu dalszym herezye Hussa i powstania chłopstwa czeskiego, Kalwina i walki patrycyatu miejskiego z pospólstwem, Lutra i wojny chłopskie, wybuchy anabatystów, głody i wojny XVI w. Kiedy w 1853 cholera nawiedziła Szkocyę, duchowieństwo nalegało na zarządzenie powszechnego postu w przeciągu 24 godzin: z postem połączoną miała być ogólna pokuta, kaznodzieje mieli ciskać z kazalnic gromy potępienia za grzechy, w jakie kraj cały popadł, a lud panicznym strachem przejęty miał przesiadywać po dniach całych w świątyniach bez pokarmu, a za powrotem do domu kłaść się zapłakany i zgłodniały. Spodziewano się, że gniew niebios w ten sposób zostanie przebłagany. Na szczęście władze administracyjne były innego zdania i projektodawcom pokuty odpowiedziały, że lepiej wziąć się do czyszczenia miast, aniżeli do umartwiania ciała i doprowadzania umysłu do zmącenia. Ale w wiekach średnich zbywało na takiej oporności. Gdy głód się zbliżał lub zaraza, tłuszcze dręczyły swe ciało i dochodziły do rozstroju w całym organizmie. Podobnież jak poddani króla Marutse-Mambunda, z podejrzeniem spoglądały na każdego, kto postępował niezwykle, przebywał samotnie, nie umartwiał ciała, znał się na lekach, włóczył się po lasach za ziołami, mówił do siebie. Bies krążył dokoła, czyż ci ludzie nie dlatego żyli samotnie, że znajdowali w nim towarzysza? Tymczasem inkwizycya, wyostrzywszy swe młode ząbki na heretykach południowej Francyi i rozogniwszy zapędy krwiożercze, zaczyna jeździć wzdłuż i wszerz, obwieszczając, że bies czatuje wszędzie i że ona wy-

---

*) Bierzemy Szkocyę, gdyż opis tego stanu czytelnik polski znajdzie w istniejącym u nas przekładzie *Cywilizacyi Anglii* Bucle'a, tom III, roz. V., stąd też czerpiemy swój opis, Faktyczny materyał co do wiedźm u Leckego.

*) Antropologom włoskim należy się pierwsza próba scharakteryzowania tego dziwnego nastroju psychicznego, który z jednej strony pcha ludzi do najplugawszych występków, a na drugim krańcu wytwarza fanatyków krwi i siepaczy. Ogarnia on chwilowo całą istność ludzką i działa w określonych przeciągach czasu. Patrz Lombroso *L'amore nei pazzi* i *Errori giudiziari per colpa di periti alienisti.*

szukuje spólników jego. Znachorzy, którzy lubo i przedtem byli prześladowani, lecz wyjątkowo i sporadycznie, padli pierwszą ofiarą. Po uprzątnieniu tych jawnych przedstawicieli kultu guślarsko-lekarskiego, obejrzano się za czarownikami prywatnego pokroju. Zawiści poruszały się w szukaniu wrogów, umysły — w bojaźni posądzeń o czary. Pierwsze stosy, pochłaniające przeważnie mężczyzn, kazania o biesach i jego sztuczkach, poszukiwania popleczników piekła wzbudziły ogólne zaniepokojenie w pospólstwie. „Wszczęła się zaraźliwa panika! Ludzie roztrojeni już i tak umysłowo, dochodzili do przeświadczenia, że znajdują się istotnie w obcowaniu z szatanem; wszędzie wzmagała się skłonność widzenia dokoła siebie wpływów nieczystych. Wśród tłumów szerzyło się uczucie niepewności i nieszczęścia, dochodzące do najstraszniejszej rozpaczy“ (Lecky). Inkwizycya skierowywała wszystkie myśli na jeden przedmiot, idea zakazanych stosunków owładnęła umysły i wzniecała halucynacye. Histeryczki zaczęły roić sobie, że znajdują się w potępionych związkach; w szale halucynacyjnym latały na sabat, zamieniały się w wilki i koty, rzucały urokiem na wszystkie strony. Zamiast znachorów-mężczyzn występuje wiedźma, zatem kobieta, istota stanowiąca główny składnik wszystkich epidemij psychicznych. Do tego przyczyniają się klęski, o których mówiliśmy: umysły widząc, że mimo pokut i umartwienia niebiosa nie zsyłają ocalenia, zaczęły modlić się do biesów. Tłumy całe widziały się w mocy szatana i publicznie głosiły jego chwałę. Czyż wobec tego nie mogła przyjść myśl, że Antychryst jest potężniejszy? Odnośne obłąkanie wszczyna się w pojedynczych okolicach, których ludność zbiera się dla składania objat piekłu; jeśli to odbywa się masowo i publicznie, kościół zazwyczaj wygania biesa, jeśli w tajemnicy i pojedynczo, skazuje chorych opętańców na stos. Zresztą jakeśmy nadmienili, najpoważniejszym bodźcem szerzenia się wiedźm była działalność samej inkwizycyi; gdybyśmy mieli statystyczne daty, dotyczące się rozjazdów jej siepaczy i skazanych przez nią ofiar, przekonalibyśmy się, że czarownictwo, niby zaraza, wlokło się po za jej rydwanem; za przybyciem inkwizytorów w nową okolicę, wiedźmy zaczynały wyrastać jak grzyby po deszczu. Dowodów na to twierdzenie dostarczają dzieje prześladowania wiedźm w Nowej Angli w XVII w. „Prześladowanie raz rozpoczęte pojedyńczem osądzeniem, srożyło się z taką potęgą, że ofiary jego wieszano półtuzinami i więcej, za jednem wykonaniem wyroku. Obwinienia sypały się coraz częściej, aż wreszcie nie cofały się przed ukazywaniem na osoby najwyższego poważania i dostojeństwa; między innemi oskarżono żonę duchownego, jednego z najczynniejszych i najgorliwszych prześladowców“ (Carpenter). Samo prześladowanie wybuchało z większą siłą to w tej, to znów w owej okolicy, tymczasem gdy w dawniej uczęszczanych miejscowościach przycichało w ofiarach pojedynczych. Zwłaszcza epidemiczny taki charakter i wiedźmostwo i prześladowanie przyjmowały w odciętych od świata zaułkach górskich, pełnych przesądu i przygotowanych przez jednostajność życia do zupełnego przejęcia się jakąś ideą urojoną. Były to doliny Sabaudyi, Szwajcaryi i północne Włochy. W maluchnem miasteczku Valery (Sabaudya) spalono w krótkim czasie aż 80 ofiar; zresztą Sabaudya po dziś stanowi ulubioną arenę psychicznych epidemij, jeszcze w 1861 r. w wiosce Morzines grasowała demonomania histeryczna. W 1459 r. hrabstwo Artois całe było opętane przez djabła; ludzie przyznawali się, że bies unosił ich do lasu na zgromadzenia nocne, setki obłąkanych zgorzało na stosie. W latach 1504—1523 w Lombardyi kobiety wyobrażały sobie, że są zamienione w kota i karmią się mięsem niemowląt. Wysłano tutaj inkwizytorów, w prowincyi Como w krótkim czasie spalono tysiąc z okładem wiedźm, a krwiożerczość tępicieli doprowadziła do formalnego powstania — zdenerwowany i rozuzdany w chuciach krwiożerczych asceta wysyłał na śmierć chorą histeryczkę. W 1536 na Sarogossę naszła epidemia „kozła czarnego,“ spalono z tego powodu 150 kobiet i 200 wysmagano rózgami. Że wywiązywanie się halucynacyi wiedźmowskiej było epidemiczne, dowodem to, że dyecezye moguncka i trewirska, będące ogniskiem demonomanii histerycznej w w. XIV, później były widownią takiegoż masowego prześladowania czarownic.

Te krwawe dzieje ucichły z wiekiem Locke'a i Voltaire'a. Czyżby czarownic nie stało? — wszak w rozumieniu kościoła czynności biesa ustokrotniły się też w swych skutkach. Wobec tego, że tłumy wiejskie w chwili tego przewrotu wierzyły w gusła po dawnemu, czem to się wyjaśnia, jeśli nie tą okolicznością, iż wskutek przecięcia działalności inkwizycyi umysły przestały chorować na manię służenia Antychrystowi, więc i źródło zarazy — bałamucenie ludności widmem biesa — wyschło? Zmianę tę w prześladowaniu należy zawdzięczać reakcyi umysłowej, wywołanej przez sceptycyzm angielski i materyalizm francuski końca XVII i początków XVIII wieku. W głębi jednak tkwi inna przyczyna, bez istnienia której niewątpliwie spalonoby Voltaire'a na stosie wraz z wiedźmą. Było rozrost wielkiego przemysłu. Co do wyzysku wyróżniał się on od poprzednich form ekonomicznych tem chyba, że czynił to w sposób mniej grubiański, lecz za to w porównaniu z niemi otworzył szerokie wrota rozwojowi myśli krytycznej i wolności sumienia. Z natury swej zmuszając ludzi do ocierania się o siebie, stawiając postęp wiedzy i ścisłego badania nie jako zabawkę dla używającego wczasów człowieka, ale jako niezbędny warunek rozwoju technicznego i swej pomyślności, budząc trzeźwość w myśleniu, wreszcie przez rozszerzanie widnokręgów wymiennych natrafiając wciąż na stałe działanie prawa przyczynowości, stworzył ku schyłkowi w. XVII atmosferę sceptycyzmu, która i wyłoniła z siebie i broniła filozofię wolnomyślną. Wreszcie przez podniecanie stosunków wzajemnych zniweczył ową jednostajność życiową, która umożebniała ujarzmienie całkowite umysłu przez najbzdurniejszą choćby ideę, to źródło zasadnicze epidemij psychicznych. Wiedźma ustąpiła nie przed egzorcyzmami i stosami, ale przed drogami komunikacyjnemi i omnibusami, urozmaiceniem biegu życia, zniesieniem więzów feudalnych, sankcyonujących średniowieczną jednostajność otoczenia, wreszcie przed sceptycyzmem nowoczesnym.

Przejrzeliśmy dzieje wiedźm jako objaw epidemii psychicznej, w oderwaniu od innych pokrewnych nastrojów masowo-psychicznych, z tego powodu uwzględniliśmy jedynie bezpośrednie pobudki. Wypadałoby teraz nakreślić rozwój samych warunków społecznych, umożebniających ujarzmienie umysłu przez ideę powziętą. Zbadaliśmy, jak pod wpływem inkwizycyi szerzyła się epidemia, obecnie należałoby spojrzeć, czemu przypisać tę słabość umysłu, że człowiek może podlegać masowym halucynacyom. Pytanie to wprowadza nas na arenę: psychologii poruszeń masowych.

Lud. Krzyw.

DOŚWIADCZENIA GŁODOWE.

Dokonane świeżo z powodzeniem przez Succiego i Merlattiego, a dawniej przez Tannera, próby wytrzymałości na głód przez 30, 40 do 50 dni, zwróciły na ten przedmiot uwagę lekarzy i fizyologów.

Jak długo wytrzymać można bez żywności? Poniekąd zależy to od zasobów, dawniej zaoszczędzonych w tkankach, poniekąd zaś od wydatków siły w czasie głodu. Tłuścioch prawdopodobnie dłużej opierać się może głodowi, niż człowiek chudy. Chossat oznacza — jako kres życia dla ssaków, pozbawionych pokarmu — 8 do 15 dni, przyczem organizm staje się lżejszym o czwartą część swej wagi. Valentin mówi, że zwierzę, zapadające w sen zimowy, traci 0,3 wagi. Dr Bordier sądzi, że śmierć następuje przy zmniejszeniu wagi o 0,4 lub spadnięciu temperatury z $+37^{\circ}$ do $+25^{\circ}$. Przy takim samym spadku ciepłoty ginie zwierzę dobrze odżywione, jeśli je zanurzyć w mieszaninę oziębiającą.

Straszny jest obraz człowieka, umierającego z głodu. Nie mówiąc już o wychudnięciu, przechodzącem — zdawałoby się — granice możliwości, ale wzrok błędny, zapach właściwy — o ironio — zwierzętom mięsożernym, pochodzący stąd, że głodzona istota sama siebie trawi, majaczenie i wreszcie wyraz całego organizmu, przemawiającego jednem wymownem słowkiem: „łaknę!“ — czyni na widzu niezatarte wrażenie. Zgłodniałe ciało chłonie wszystko, poczynając od rojących się w powietrzu czynników chorobotwórczych, niegdyś miazmatami zwanych. Stąd wszystkim głodom powszechnym towarzyszą rozliczne zarazy.

A przecież nie brak i w dawniejszych czasach przykładów wytrzymywania przez ludzi głodu czas dłuższy. W Bois Mouzil ośmiu górników pozostawało w zawalonej kopalni węgla 136 godzin. Pierwszego dnia podzielili między siebie pół funta chleba, kawałek sera i dwie szklanki wina. Przyniósł je z sobą któryś z nich i sam jeden spożyć ich nie chciał; dwaj górnicy zrzekli się udziału w tej biesiadzie, gdyż posilali się tylko co przed wejściem do kopalni, a nie chcieli przeżyć innych. Kiedy po upływie pięciu dni odkopano ich, zapewniali, że długi post nie sprawił im wielkiego cierpienia *).

Chorzy, gorączkowi, zwłaszcza zaś obłąkani i histeryczki, żyli bez pokarmu całe tygodnie, a nawet miesiące. P. Henryk de Parville **) podaje za Diderotem opowieść o alchemiku, nazwiskiem Duchanteau, który mniemał, że jeśli pościć będzie przez czterdzieści dni, nie jedząc i nie pijąc nic oprócz swojego moczu, „to przez destylacyę wyższą i niższą wyprodukuje kamień filozoficzny.“ Od takiej dyety nie umarł, ale poddawał jej się tylko przez dwadzieścia sześć dni. Ostatnia uryna, balsamicznej woni, przechowywana była przez Lożę przyjaciół połączonych do czasu wielkiej rewolucyi. Wilhelm Granier, więziony w Tuluzie 1831 r., przyjmował tylko wodę i umarł 63 dnia, doszedłszy do 26 kilogramów wagi. Psychiczny stan jego nie pozwalał mu doznawać cierpień fizycznych.

Wogóle zasługuję na uwagę fakt, że zaspakajanie pragnienia zmniejsza dolegliwość głodu. Żaby, umieszczone pod dzwonem z chlorkiem wapna, pochłaniającym wilgoć, konają z objawami zakłóceń w krążeniu krwi (zwolnienie rytmu serca), w oddychaniu (ciężkość oddechu), z zakłóconą wrażliwością i wśród kurczów konwulsyjnych; czerwone ciałka krwi ich podlegają zmianom. Dr Laborde w Paryżu wykonał świeżo w pracowni fizyologicznej wydziału lekar. doświadczenie nad dwoma psami jednakowej wagi, które tegoż samego dnia poddał dyecie bezwzględnej, dozwoliwszy tylko jednemu z nich pić do woli. Ów uprzywilejowany, choć bardzo wychudł i przedstawiał pewne objawy niepokojące, lecz jeszcze czterdziestego dnia był żwawy, odpowiadał na pieszczoty i wejrzenie miał żywe. Wypijał średnio po 100 gramów wody

*) *Annales d'hygiène publique et de méd. légale, t. XVI.*

**) *Journal des Débats* z d. 4 listop. r. z.

dziennie. Dr Laborde przerwał z nim doświadczenie, pragnąc widzieć, jak będzie wetował poniesione straty. Drugi pies mniej szczęśliwy, zdechł dwudziestego pierwszego dnia.

Jakąż tedy rolę odgrywa woda? Osobnik głodzony żywi się samym sobą. Wiemy np., że uryna królika głodzonego zamienia się z alkalicznej na kwaśną, taką, jaka bywa u mięsożerców. Oczywiście dlatego, że królik żyje własnem ciałem. Otóż zdaje się, że woda ułatwia to spożywanie siebie. Wszakże niekiedy na zbyteczną otyłość przepisywane jest wypijanie wielkich ilości wody, sprzyjające chudnięciu. Nie dość na tem: Succi wśród postu wypijał znaczne ilości wód mineralnych, bardzo bogatych w sole (po 7 kilogramów wody Vichy, po 12 klgr. Hunyady Janos, prócz 16 klgr. wody czystej). Tym sposobem zabezpieczał się od ciężkich przypadłości, wynikających z braku soli, zawartej pospolicie w pokarmach stałych. Wiadomo, że wspomniane przypadłości polegają na głębokich zakłóceniach w systemie nerwowym (demineralizacya nerwów).

Zanotujmy tu jeszcze dwa spostrzeżenia. Jedno z nich podaje Oesterlen w „Hygienie publicznej i prywatnej“ *): że wytrzymałość na głód zależy nietylko od klimatu, narodowości, wieku, płci, stanu zdrowia, rodzaju zajęć, ale także od temperamentu i przyzwyczajenia. Sangwinik jadać potrzebuje częściej niż flegmatyk i melancholik. Drugie spostrzeżenie przytacza de Parville we wspomnianym wyżej artykule. „Znamy — powiada — chudego adwokata i tłustego inżeniera, obu nerwowych. Adwokat zielenieje, opada z sił i dostaje zawrotu, jeżeli o godzinie piątej nie wypije kieliszka madery i nie zakąsi buterszniterm. Inżenier opiera się dłużej. Rok temu radził sobie do pewnego stopnia paleniem tytoniu; ale koło pół do ósmej, kiedy z miasta powracał do domu i czuł zapach potraw, to musiano mu natychmiast jedzenie podawać, gdyż inaczej wpadał we wściekłość i nie mógł zapanować nad sobą. A przecież jest tłuściochem i nie potrzebuje wynagradzać ubytków organizmu, zaopatrzonego aż nazbyt obficie. Pojął tedy, że nic innego tylko nerwy są powodem takich niepokojów, postanowił je przemódz i dopiął celu. Zaczął pić herbatę bardzo gorącą, żeby obieg krwi przyspieszyć. Nadto zmniejszał zwolna posiłek przyjmowany i doszedł do tego, że mógł się kłaść spać bez obiadu. Dziś system nerwowy już go zostawia w spokoju. Biedaczysko, zaczyna się skarżyć na brak apetytu.“

Podobne spostrzeżenia doprowadziły d-ra Bernheima do wniosku, że odróżnić należy uczucie głodu od wycieńczenia. Głód zabija szybko, wycieńczenie — powoli. Hysteryczka, odtrącająca posiłek, nie doznaje łaknienia. Głód natężony sprowadza prawdziwą nerwozę. Usunięcie tego przykrego uczucia pozwala znosić wycieńczenie dłużej nieporównanie. Bernheim posuwa się dalej jeszcze. Wprowadza on hypotezę samopoddawania (*autosuggestion*). Podług niego hysteryczki, obłąkańcy i słynni głodomorzy *wmówili w siebie* nieczułość na głód. Succi uwierzył potężnie swego płynu cudownego, jakoby wynalezionego w Afryce. Zresztą w młodości był on dwukrotnie zamykany w szpitalu obłąkanych i pozostała mu się pewna egzaltacya.

Lecz jeżeli nawet odrzucić hypotezę samopoddawania, jako niczem nieudowodnioną, to zawsze pozostaje słuszne odróżnienie głodu od wycieńczenia, oraz wpływu stanów psychicznych i nerwowych na uczucie głodu, jako rzucająca nowe światło na zjawiska dotąd niewyjaśnione i zgodna ze spostrzeganemi faktami.

Z.

---

*) Przekł. d-ra Łuczkiewicza, str. 402 i 403.

LITERATURA I SZTUKA.

KARTKI ESTETYCZNE.

X. Pokłosie konkursowe.— Dramat pana Euzebiusza Drakuli. — „Co nam do Hekuby!“ — Życie dramatem.

Wszelkie konkursy artystyczne i literackie nie podnoszą ani na cal poziomu sztuki i literatury.

Prawdę tę warto przypomnieć dzisiaj, gdy uczyniono z konkursów jakieś *panaceum universale* na wszystkie choroby piśmienniczo-artystyczno-wydawnicze.

Konkursy mogą niekiedy przyspieszyć chwilę narodzin dzieła znakomitego, które niezależnie od nich poczęło się i niezależnie też od nich świat by mogło ujrzeć; jedynym wszakże, niby dodatnim ich owocem, jest: zwiększenie produkcyi malarskiej, rzeźbiarskiej, poetyckiej itp.

Ale czyż w produkcyi tej odgrywa jakąkolwiek rolę — cyfra?

W najgorszych dla poezyi polskiej czasach najzawzięciej rymowano. Podczas gdy właściwa literatura drzemała w odrętwieniu, zatapiano w oceanie nadętych wierszydeł kolebkę każdego magnackiego dziecka. Kraj nie posiadał ani jednego poety, który byłby nazwy tej godnym, a jednocześnie uczono „poetyki“ po szkołach i pisano ody, hymny i epopeje na zadane przez profesora tematy.

Nie dowodzi przeto najmniejszego wzrostu naszej poezyi dramatycznej owa prześwietna „obfitość plonów,“ jaką uszczęśliwił nas ostatni konkurs imienia Wojciecha Bogusławskiego.

Jeżeli wśród tego plonu znalazła się i taka piękna wiąź pełnych i dostałych kłosów, jak „Larik“ pana Gadomskiego, uważać to należy za wynik czystego trafu. Duszy autora nie zapłodniła z pewnością żądza zdobycia tysiącarubli. Żadne prawdziwe i trwałe dzieło sztuki nie powstaje *à l'improviste*. Dziecię nosi kobieta w łonie dziewięć tylko miesięcy, ale embryon twórczej myśli kształtuje się i doskonali w duszy artysty od chwili przyjęcia jego do świadomości. To, co w danej chwili artysta pisze, maluje lub rzeźbi, jest sumą wszystkiego, co do owej chwili przemyślał i przeczuł.

A tymczasem niektórym członkom „komitetów konkursowych“ zdaje się, że są w mocy „stwarzania nowych talentów“ i że kilkomiesięczny okres czasu pomiędzy ogłoszeniem konkursu a jego zamknięciem wystarczy może do wywołania jakichś nadnaturalnych fenomenów artystycznej twórczości. Poprostu przyznają oni sobie władzę: czynienia cudów.

„Obfity plon“ ostatniego konkursu dramatycznego dostatecznie już został oceniony. Po uciszeniu się hucznych, dożynkowych wiwatów, wymłócono go krytycznie cepami i przewiano na krytycznych wialniach, a gdy oczyszczono z plewy, piasku i obcych domieszek, zsypano do worka, okazał się na podziw — ubogim.

To, co ocalało i przedstawia wartościowy dorobek literacki, jest zwykłym rocznym procentem, jaki kraj, bez uciekania się do konkursów, od swego kapitału duchowego otrzymuje.

Po uprzątnieniu jednak snopów i snopków, pole konkursowe nie zostało jeszcze oczyszczonem w zupełności. Od czasu do czasu bibliografia i krytyka podejmują zeń jeszcze i niosą do ogólnego zbioru przeoczony kłosek, który jednak najczęściej okazuje się — pustym.

Niedawno naprzykład ukazał się w oddzielnej książce dramat historyczny w pięciu aktach z prologiem, napisany przez pana Józefa Łabuńskiego p. t.: „Agrypina“ (Warszawa, Gebethn. i W., 1886).

Wzmianka, uczyniona przez autora na karcie tytułowej, objaśnia, iż dramat ten odznaczony został na konkursie, co znaczy, że chociaż nie zdobył nagrody, pozyskał jednak uznanie „komitetu.“

Świat klasyczny, choć z pozoru bardziej już wytrzebiony, niż polskie lasy, pozostanie na zawsze podobno kopalnią złota dla poetów i artystów. Czerpią oni stamtąd już od wieków, a w kopalni nie znać dotąd ubytku. Sam Neron, jakaż to potężna i bogata w treści zagadka, którą sztuka i nauka rozwiązują wciąż inaczej i wciąż, z pozoru, umiejętnej, a jednak dobrać się do jej wnętrza nie mogą.

Ale wielki przedmiot nie stwarza nigdy sam przez się wielkiego artysty. Natchnione dziejami Grecyi i Rzymu dzieła poetów, malarzów itp. o tyle tylko są znakomitemi, o ile znakomitymi byli owi poeci lub malarze. A przytem, czyż to jest w mocy ludzi nowożytnych, największym nawet geniuszem jasnowidztwa obdarzonych, odtworzyć świat ów zamarły takim właśnie, jakim był w rzeczywistości? Każdy bierze stamtąd i pokazuje nam to jedynie, co mu jest potrzebnem do ucieleśnienia własnych myśli, pragnień i poglądów; każdy z tej tysiącostrunnej harfy dobywa te tylko dźwięki, które z dźwiękami własnej jego duszy tworzą akord harmonijny.

Tu zatem, bardziej może niż na innych polach twórczości, obchodzi nas nie wielkość wybranego przedmiotu, lecz siła talentu tego, kto go podjął i na dzieło sztuki przerabia.

Jestże p. Łabuński tak wielkim talentem, aby wielkości neronowych dziejów podołał? Aby odpowiedzieć na to zapytanie, należałoby wprzód rozwiązać innne, które brzmi: jestże dramat pana Łabuńskiego naprawdę dramatem?

Kraszewski pisze obecnie powieści historyczne, których cykl cały, jeżeli zostanie doprowadzonym do końca, stanowić ma rodzaj obrazowego kursu naszych dziejów politycznych i obyczajowych. Aby założeniu temu odpowiedzieć, podzielił on swą pracę na tyle równomiernych części, ilu monarchów naród nasz liczy i każdą część wciska w przygotowane zawczasu ramy powieściowego opowiadania. A gotowe są w tem opowiadaniu nietylko ramy, lecz i całe rusztowanie, do którego przypasowywa się najmniejsza, ile można, ilość wątku fantazyjnego. Zadaniem każdej powieści jest wyłącznie: przypomnieć czytającemu główne wypadki polityczne, objęte okresem rządów danego monarchy, oraz nakreślić wizerunek tegoż monarchy, wedle zwykłego, powtarzanego przez wszystkie podręczniki szablonu.

Mimo olbrzymiego talentu Kraszewskiego, jakiż rezultat wydało fałszywe to wzasadzie już swojej założenie?

Oto historyczne powieści Kraszewskiego (z wyjątkiem może „Starej baśni,“ która jest rodzajem poematu opowiedzianego prozą), nie są ani właściwemi powieściami, ani też właściwym kursem historyi. Jako powieściom, brakuje im rzeczywistej twórczości, zastąpionej rodzajem popularnych lekcyj, zmuszonych ściśle liczyć się z historycznemi faktami; jako wykład dziejów, grzeszą znowu ubóstwem tych faktów, pominięciem prawie zupełnem dat i jednostronnem z konieczności, przedstawieniem danej epoki.

Na mniejszą skalę stało się toż samo i z autorem „Agrypiny.“

To, co podobało mu się nazwać „dramatem“ i podzielić na akta i sceny, jest niczem więcej, jak tylko uscenizowaniem kilku kart zwykłego kursu dziejów rzymskich.

Nic ulega wątpliwości, że treść ta, nawet w najzwyklejszy sposób opowiedziana, posiada w sobie niemało dramatyczności; *dramatyczność* wszakże to dopiero marmur, z którego dłoń mistrza wykuwa posągową całość *dramatu*.

Główne postacie utworu pana K., to jest Agrypina i Neron nie pokazują czytelnikowi żadnej nowej, lub choćby w nowy sposób oświetlonej strony charakteru. Któż z ludzi, powierzchownie choćby z historyą rzymską obznajomiony, nie wie, że Neron był okrutny, lubieżny, chciwy władzy i goniący za poetyckimi laurami? Co do jego matki, zdania dzielą się może cokolwiek; samo jednak zestawienie stwierdzonych historycznie faktów, zbliżenie do siebie prologu i epilogu tej nędznej alkowniano-politycznej tragi-komedyi, której ona była autorką i reżyserem, dostatecznie właściwy jej charakter odsłaniają.

Gdy Krasiński pisał „Irydyona“ (miejsce, z którego słowa te wypowiadam, nie pozwala mi na cytowanie bliższych nas przykładów), szło mu o coś więcej, niż o udramatyzowanie faktów, upadek Rzymu poprzedzających. W kształty starorzymskie oblókł on własnego ducha, przepełnionego miłością, bólem, ideami ogólno-ludzkiemi i pragnieniami urodzonemi z chwili, w której żył i cierpiał. I dla tego „Irydyon“ wzrusza nas i zachwyca; i dlatego dzieło Krasińskiego jest — arcydziełem.

Aby skończyć z panem Łabuńskim, wypada jeszcze zaznaczyć, iż jego niby dramat obfituje we fragmenta efektowne, że odznacza się w wielu miejscach tak zwaną „sceniecznością“ (której mistrze najpierwsi, jak np. Scribe i Sardou zajmują zwykle w literaturze miejsce — ostatnie), a wreszcie, iż pisany jest językiem... okropnym.

„Odznaczający“ pracę tę komitet, przed położeniem na niej pieczęci uznania, powinien był przedewszystkiem oddać ją pierwszemu lepszemu nauczycielowi języka polskiego do poprawienia błędów, jakiemi jeży się każda jej stronica.

Oto kilka — najmniejszych — na próbę: „*Z tego* zacząć wypada“ (str. 51); „stół *dla* uczty“ (str. 52); „ktokolwiek z nas *dwóch* na tronie: ja czy ona!“ (ma to znaczyć: tron posiąść może tylko jedno z nas dwojga); „łapki ma aksamitne, a *krogulce* jak igły“ (str. 56); „oto ten naszyjnik; to jest *śliczności* nieopisanej“ (str. 57); „niestworzone rzeczy *namówili* tobie o mnie“ (str. 60); „*gdyby nie tutaj była*, przysiągłbym, że to nie ona“ (str. 60); chowa się *odemnie*“ (str. 86) itd...

A oto mała również próbka dramatycznego języka:

„*Senecjon.* Zakochana i zazdrosna... *Nieszpetna* jeszcze kobieta... Cóż u bogów *ten tam tak* długo siedzi!.. Może naprawdę afrykan?.. *Tobym się ubrał!..*“

O komitecie! komitecie! czem ty i kiedy spełnione grzechy odpokutujesz?!..

Nasza poezya dramatyczna od dłuższego już czasu stoi w mierze; dramaty jednak sypią się gradem.

Zaledwie ochłonąłem po „Agrypinie,“ spadła na mnie „Domna Rozanda,“ rzecz podzielona na pięć aktów i zrymowana bardzo poprawnie przez pana Zenobiusza Drakuli (Kraków, Gebethn. i W., 1886).

P. Drakuli nie sięgał po treść aż tak daleko jak p. Łabuński; ale i on także wyrwał się ze szranek współczesności i umieścił akcyę swego dramatu w połowie XVII wieku. Już i takie, przeszło dwuwiekowe oddalenie wymaga odpowiednio archaicznej barwy i atmosfery innej, niż ta, jaką dziś oddychamy; p. Drakuli wszakże ani trochę tem się nie kłopotał.

Bohaterowie jego nie mówią wprawdzie językiem zupełnie dzisiejszym, ale używają natomiast tej sztucznej gwary, modnych w swoim czasie „gawęd szlacheckich,“ która nie jest mową żadnego stulecia, a już najmniej podobno XVII-go. Osadzony na wyszlifowanych kółkach tej łatwej dykcyi, rym jego *toczy się* gładko, i gładko też przetacza czytelnika przez pięć aktów, w których czytelnik ów nie napotyka nic prawie takiego, coby go silnem wzruszeniem, niespodzianym poglądem, głęboką myślą lub obrazem niezwykłym, na miejscu zatrzymać mogło.

Pracy pana Drakuli nie można wytknąć rażących błędów. Nie grzeje ona zbytecznie, ale też i nie ziębi. Dyalogi w niej zajmujące, akcye urozmaicone. W jednem miejscu, tam mianowicie, gdzie zjawia się dziki hajdamaka, Tymko Chmielnicki ze zgrają ciotek i starych swach, charakterystyka postaci ujemnych uderza nawet pewną siłą, przypominającą demoniczne figury Słowackiego...

Ale wszystko to nie ocala dramatu, którego kardynalną wadą jest bierność bohaterki. Nie walczy ona z przeznaczeniem, ale mu się, płacząc, poddaje. Przy końcu piątego aktu odbiera sobie wprawdzie życie (bez tego nie byłoby dramatu!), lecz samobójstwo to jest tylko efektownym dodatkiem, właściwy bowiem węzeł dramatyczny przecięło już wcześniej małżeństwo jej z niekochanym Tymkiem.

Wogóle, dramat pana Drakuli czyni wrażenie roboty poprawnej, pisanej spokojnie, opracowywanej systematycznie, wygładzanej i polerowanej cierpliwie, ale zarazem pozbawionej tego, co się nazywa natchnieniem, a czego nie zastąpi ani gładkość, ani zręczność, ani potoczystość.

Rozpatrując ostatnie prace naszych powołanych i niepowołanych dramaturgów, którzy rozpaczają razem z rzymskiemi cesarzowemi, trują się z córkami wołoskich hospodarów i wogóle szafują sercem dla ludzi dalekich nam czasem i przestrzenią, mimowoli przychodzi na pamięć wykrzyknik Hamleta, wznowiony świeżo przez „księcia żelaznego“:

— Co Hekubie do nich! co im do Hekuby!..

Niechby raczej patos swój i łzy swoje schowali dla samych siebie, dla tego co im najbliższe, co ich bezpośrednio dotyka. Ślepi tylko nie widzą żywiołów dramatycznych w życiu współczesnem. Szlachcic na zagrodzie może stać się równym w dramatyczności Neronom, Bohdanom, Tymkom Chmielnickim, Hamletom itp. Czemże był Szajlok, jeżeli nie żydem pożyczającym na fanty? Czyż zresztą klasyczna maksyma Goethego: „co ma ożyć w pieśni, musi zamrzeć w rzeczywistości“ nie została już zwalczona i wyśmiana przez romantyków?

Powtarzam: szlachcic na zagrodzie może może być bardzo dramatycznym — zwłaszcza też szlachcic dzisiejszy. Leżąca przedemną książka doskonałego znawcy wiejskich stosunków, Jordana, p. t.: „Gawędy w listach Jordana do pana Jana,“ utwierdziła mię w tem przekonaniu...

Dziwna to książka. Śmieje się niby, a łzy do oczów napędza. Fantazya, właściwa opisywanemu w niej światu, nie opuszcza i opowiadającego, a jednak z pod tej fantazyi wyszczerza wciąż zęby wielka nędza — materyalna i niematerjalna...

Powiadają, że forma humorystyczna najskuteczniejszą bywa dla mysli moralizatorskiej i satyrycznej. Być może — trzeba jednak, żeby to była forma Thackeraya, Lama, Prusa wreszcie... Trzeba, żeby w roześmianych ustach autora syczało także żądło śmiertelne, grożąc złym i zbyt wesołych poskramiając.

Otóż Jordanowi żądła tego brakuje.

Badałem wpływ jego „Gawęd“ na szlachtę. Bawiły one, rozśmieszały, zachwycały nawet wszystkich — nie poprawiły nikogo.

Wypływa to stąd, że Jordan, mimo peryodycznego plamienia palców atramentem literackim, jest sam jeszcze zanadto—szlachcicem. Daje mu to pewien oryginalny wdzięk i czyni go ciekawym przykładem literata-ochotnika, ale odbiera pracom jego doniosłość, jaką miećby powinny. „To nasz!“ wykrzykuje szlachta z animuszem, odczytując jego „wędrówki,“ „gawędy,“ „listy“ itp., ale jej ani przez myśl nie przejdzie widzieć w nim Jeremiasza, ostrzegającego o niebezpieczeństwie i wzywającego do upamiętania...

Z punktu jednak czysto literackiego, nowa serya „Gawęd“ jest utworem doskonałym. Przytępione nieco w seryi pierwszej pióro autora „Wędrówek delegata,“ tutaj odzyskało właściwą sobie werwę i dowcip— rodzimy.

Ale ta cała, tak zabawnie przedstawiona przez Jordana komedya szlachecka, dla wyższego odeń artysty ma jedynie wartość materyału do... szlacheckiego dramatu.

Kto się czuje silnym, niech dramat ten napisze!

Wiktor Gomulicki.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Ceremoniał przyjęcia na dworze chińskim. — Człowiek pierwotny jako zwierciadło późniejszego. — Hierarchia literatury. — Zdolności marniejące w służbie u ludzkiego egoizmu. — Stałe dążenie zniżania innych. — Nasze zatraty. — Mandarynizm i dzieciństwo prasy.—Nasi debiutanci.—Dwa talenty: Brolis i XX — Odrośl zolizmu. — *Mea culpa.*

Przepisy dworu chińskiego wymagają, ażeby posłowie mocarstw europejskich, mający posłuchanie u władcy państwa niebieskiego, kładli się na podłodze i w trzech posunięciach przypełzywali do tronu; wtedy wolno im podnieść się i spojrzeć w oblicze syna niebios, a zdarza się — jak w r. 1872 zapewniały gazety pekińskie — że „dyabły zachodnie“ padają z przestrachu i tracą zmysły, gdyż w osobie monarchy ukazuje im się groźny smok Lung, patron Chin. Baśnie, legendy, zmyślenia i opisy zwyczajów społeczeństw dzikich i nieoświeconych czytać można zawsze z rozkoszą i pożytkiem, bo w nich wyraziście i jaskrawo odbijają się te rysy cywilizacyjne, z których nasze życie starło barwy i chropowatości, ale nie przestało ich podtrzymywać. Jak szeroko otwiera się nasze gardło do śmiechu, gdy słyszymy o bożkach, fetyszach, przesądach, czarodziejach ludów pierwotnych i jaką czcią otaczamy tych bożków, fetyszów i czarodziejów u siebie! Zabawnym jest władca chiński, bo naiwny i szczery, nie umie jeszcze balsamować, owijać i przechowywać mumij w piramidach kultury. Człowiek lubi przygniatać innych swoim majestatem, chociażby to był majestat sklepikarza, dumnie patrzącego na biedaków, proszących go o zakredytowanie łojówki. Najbardziej zadowolonym on jest wtedy, gdy widzi schylone przed sobą głowy. Dostrzeżecie to wszędzie, bo nawet tam, gdzie, ciemnota i ubóstwo wszystkich równają, gdzie na pozór ludzie nie różnią się o grubość jednego włosa.

A przedewszystkiem dostrzeżecie to śród szlachectwa i arystokracyi ducha — w prasie i literaturze. Jakie tam znaczenie mają nobilitacye, rodowody, urzędy, rangi, ordery! O jednym powiedziano, że ciągle ma na widoku dobro ogólne, drugiego spokrewniono ze Słowackim lub... Homerem, trzeciego mianowano naczelnikiem wszystkich wydziałów krytyki, czwartemu przyznano tytuł radcy narodowego, piąty otrzymał krzyż wszystkich świętych — każdy więc, stosownie do swej godności, zasiada na tronie niższym lob wyższym i wymaga, ażeby zwykli śmiertelnicy, nawet przedstawiciele mocarstw nauki i sztuki, na brzuchach pełzali do jego podnóżka i powstawali olśnieni widokiem strasznego smoka. Nasze sądy literackie tkwią ciągle w ramach hierarchii stałej. Niewątpliwie Sienkiewicz jest znakomitym powieściopisarzem, Prus znakomitym humorystą, Siemiradzki znakomitym malarzem, ale i to pewna, że inni czasem wykonają coś lepiej od nich. Zaznaczenie jednak tego faktu byłoby nietylko bluźnierstwem, ale taką mnicj więcej niedorzecznością, jak np. gdyby ktoś w Chinach ogłosił, że zwykły uprawiacz herbaty po-

siada równe z ministrem władcy niebios prawo wydawania dekretów o biciu winnych bambusem w pięty. Od powieści bowiem, krytyki, dramatu, fejletonu istnieją tak mianowani urzędnicy, jak od bambusa. Dzięki temu ciągłemu zatrzymywaniu uwagi na dygnitarzach literatury i prasy, w każdem społeczeństwie, a przynajmniej w naszem daleko więcej przepada zdolności wielkich, niż rozrasta się małych. W Afryce rzeka wyrzuciła na brzeg as treflowy — dzicy podjęli kartę i zaczęli jej oddawać cześć boską. Taki sam przypadek w piśmiennictwie wyrzuca i do znaczenia podnosi różne wióry inteligencyi, podczas gdy jej złoto leży zatopione na dnie rzeki. Zwłaszcza w orkiestrze pracy naszej trzymają nieraz pierwsze skrzypce rzępoły, ludzie maleńkich zdolności i wiedzy, podczas gdy do ustawiania pulpitów, zapalania lamp i oczyszczania kurzu przeznaczeni są inni, rzeczywiście utalentowani i ukształceni. W życiu także spotykamy nieraz jednostki niezwykłej siły umysłowej, które nie przyjmują żadnego udziału w literaturze, bo je przeraża majestat jej władców i mandarynów, bo są przekonane, że ten lub ów Tsai-Chun jest wcieleniem smoka, który śmiertelnych powala na ziemię. Strwożone przesądem i nieświadomością mocy własnej, marnują życie na role marne, ich miary niegodne, które chętnie marnuca im samolubstwo bliższego i dalszego otoczenia. Człowiek bowiem więcej pragnie mieć służących pod sobą, niż równych koło siebie, lub panów nad sobą. Dłużej waha się nad podniesieniem, niż zniżeniem kogoś: pierwsze uboży go, drugie bogaci, pierwsze uszczupla mu, drugie rozszerza monopol. W niezmiernie tylko rzadkich wyjątkach wyznaje on szczerze szacunek dla znakomitych tworów natury, w zakresie swej możności wydaje z siebie światło i ciepło, sprzyjające ich rozwojowi, podnosi to, co wysokiem być winno, choć przez to swój szczebel obniża. Daleko częściej zieje chłodem i otacza ciemnością owe twory, którymi karmi swój egoizm. Wenus z przyrodzenia była rozumna, ale ją ogłupiano, ażeby stała się patronką miłostek sprośnych, a niejeden rymorób chętnie skazałby Mickiewicza na przepisywanie swych wierszy, chociażby nawet przeczuwał jego geniusz.

W społeczeństwie naszem, którego niemal cała siła żywotności tkwi w uzdolnieniach duchowych, a w którem oświata rozpływa się bardzo małymi kręgami i na szersze koła pada zaledwie w drobnych odblaskach, trzeba nadzwyczaj pielęgnować zapalające się iskry talentów i rozdmuchiwać każdą. Prasa nasza daleką jest od uznania tego obowiązku: albo machinalnie wybija pokłony władcom i dostojnikom literatury, albo z dziecinnem zadowoleniem bawi się cackami. Bo cóż zwykle spotykamy w dziennikach? Wiadomość o zamierzonym lub spełnionym czynie jakiegoś utytułowanego mandaryna lub też o świeżym obrazku w ilustracyi. Napisz gruntowny, świetny artykuł, nikt go nie odznaczy; ale narysuj wielką żabę, polującą w sitowiu na motyle, zobaczysz, z ilu piersi wydrze się okrzyk uwielbienia. Zauważcie tylko: dzieci prasy naszej co tydzień klaszczą w dłonie po obejrzeniu pism ilustrowanych i zdejmują kapelusiki przed portretami mandarynów.

Prawda od początku swego istnienia starała się o zwerbowanie dla literatury sił świeżych i rzeczywiście wprowadziła znaczny stosunkowo ich szereg. Przez nią weszło do prasy kilkunastu pisarzów, którzy dziś pracują na różnych niwach umiejętnie i pożytecznie. Czy jednak ich debiuty na naszej scenie zwróciły w swoim czasie czyjąkolwiek uwagę; czy oprócz naszej zachęty wspierała przyszłych pracowników obca życzliwość? Nie. Mało dbaliśmy zawsze o brak uznania dla nas, ale przykrą nam była taka lodowata oziębłość dla młodych. Niektórzy z nich przeszli na inne pole i tam zdobyli sobie większe lub mniejsze rangi, inni pozostali u nas. O tych właśnie i to o najbardziej ukrytych w cieniu pragnę dziś rzec słów parę.

W ostatnich czasach z niewysychającego nigdy potoku prac rozmaitych, nadsyłanych do redakcyi, wyłowiliśmy dwa pióra, które, naszem zdaniem, w warunkach pomyślnych bardzo ładnie rozwinąć się mogą. Mówię o Brolisie (pseudonym), którego obrazek zamieściliśmy w poprzednim numerze *Prawdy* i o autorce „Szkiców wiejskich,“ (z nazwiska wcale nam nieznanej), której „Marysię“ dziś podajemy. Czytelnik wolny od mandarynizmu i pamiętający poprzednie prace tych rąk (drukowane w *Prawdzie* dawniej), dostrzeże w nich łatwo talent niewątpliwy i bardzo odmienny. Brolis — to nowelista fantastyczny, którego osnowy nie są jeszcze tkaniną dość wyrazistą i barwną, ale który umie już głębsze myśli owijać w przędzę bujnej i świeżej wyobraźni. W jego pracy tu i owdzie widać niewprawę, ale nigdzie nie szarzeje wytarty komunał. Jego muza wzlata bystro i wysoko, a choć czasem plącze się w chmurach, drogi nie gubi. Czemś zupełnie przeciwnem jest talent autorki „Szkiców.“ Nikt nie policzył, ilu mniemanych winowajców pociągnięto do odpowiedzialności przed sąd prawomyślności za „naturalizm“ i „realizm.“ Co do mnie, tych przestępców, zwłaszcza z pierwszej kategoryi, wcale w literaturze polskiej nie widzę. Jedyną i to dziwnie blisko z pniem spokrewnioną odroślą zolizmu jest u nas ta młoda autorka. Gdyby nasz smak estetyczny pozwalał pozostawić i te rysy szczegółowe, które giną pod ołówkiem redaktorskim, czytelnik dostrzegłby najwierniejszą podobiznę Zoli, umysł, odbijający życie fotograficznie, niezasłaniający niczego, nieznający żadnych wstrętów i upodobań, zachowujący przedmiotowość aż do naiwności. Wszystko tu jest właściwem, co jest naturalnem i znamiennem. Dotychczas X. X. kreśliła tylko obrazki maleńkie, w sposób prostszy, niż tego wymaga technika pisarska; ale jeżeli zdobędzie się na utwór większy, niezawodnie ukaże się jako polska uczennica Zoli. Proszę tylko te jej szkice porównać z podobnemi sylwetkami pisarza francuskiego (np. z „Typami duchowieństwa“) — ten sam rodzaj i to samo wykonanie.

Nasz mandarynizm na to się nie zgodzi, bo naprzód nie pozwala porównywać wielkich z małymi, a powtóre szanuje tylko wyroki własne. Niech mi to tam będzie przez Minosa surowo policzonem u bramy drugiego świata, nie przestanę jednak szukać świateł po za słońcami i gwiazdami, do których modlą się wyznawcy literackiego sabeizmu. Stary zwyczaj świata każe otwierać usta, wybuchać podziwem i sławić mądrość, gdy jakiś Tsai-Chun powie uroczyście: pies skacząc przez płot, musi wpierw przerzucić nogi przednie; słyszę chóralne zachwyty nad płytkiemi zdaniami różnych naszych „nestorów,“ a litościwe drwiny z głębokich myśli nieutytułowanych mizeraków literatury, wiem, że ludzie cenią szlify a nie waleczność i gotowi są zawsze topić swe rozumy w mętnej kropli, która z wysoka spada — o tem wszystkiem pamiętając, uwagi powyższe pisałem. Niech Minos robi ze mną, co mu się podoba.

Poseł Prawdy.

POD MIKROSKOPEM.

Jeżeli nie z wieści, z listów prywatnych i publicznych, które nigdy światła publicznego nie ujrzały, to ze skarg sądowych każdy zapewne dowiedział się, że p. Ryszard Puciata nie uważa z Leibnitzem całego świata, a przynajmniej naszego, a wreszcie tylko Osad rolnych w Studzieńcu za najlepszy ze światów. Było to widocznem, że szan. filozof widzi w sobie archanioła a w Zarządzie studzienieckim pięciogłowego smoka, którego papierową włócznią przebić powinien. Na nieszczęście włóczni tej odmówiła mu prasa warszawska, najechał więc na nią i przeszył jej pierś osobną broszurą, której ostrze, naturalnie, utkwiło i tym razem w pięcie Zarządu Osad rolnych. Ta „Kartagina musi być zniszczona“ zbiorowem uderzeniem wszystkich pism, a jeśli nie, to...

„Wszystkie one, bez względu na kolor i treść (?) łachmanów, jakie dla przywabienia pospólstwa nad budkami swojemi powywieszały — wszystkie *jednomyślnie* walczą przeciw niemu najstraszniejszą bronią — *bronią milczenia.*“ Słowem, według p. R. Puciaty, ponieważ prasa o nim „milczy,“ więc „przeciwko niemu walczy bronią najstraszniejszą.“ I naiwność powinna być umiarkowaną. Bo rozwińmy płatki tego mistycznego liryzmu. Autor, jako dyrektor zakładu studzienieckiego, został przez Zarząd z tej posady usunięty. Odszedł po zaciętej walce i wyniósł olbrzymi zapas pretensyj, który mu wystarczył już do napełnienia kilku skarg sądowych, wielu listów i artykułów (niedrukowanych), broszurki (drukowanej), a zapewne nawet w części jeszcze wyczerpany nie został, bo następne zapowiedziane filipiki, ma jeszcze zasilić. Ponieważ zaś prasa, uważając ten zatarg za czysto prywatny, nie otworzyła upustów dla płynącej z niego melancholii, więc p. Puciata lży ją, ile tylko na 14 stronicach się zmieści. Nie wynaleziono jeszcze probierza na ocenę i klucza do zrozumienia mechanicznie obok siebie zestawianych wyrazów, których całym sensem jest ich krzykliwość, więc nawet najlepsza chęć nie zdoła wyszukać sposobu odgadnięcia, czego autor chce po za bólem z rany zadanej mu „bronią milczenia.“ To więc tylko rzec mogę, że jeżeli p. Puciata tak rozważnie, przyzwoicie i sprawiedliwie postępował z Zarządem studzienieckim, jak z prasą warszawską, to wcale się nie dziwię, że musiał się z nim rozstać. Grzebie, on w tej prasie niby w śmietniku i znajduje tylko: odpadki wiedzy, plotkę, skandal, oszczerstwo, cuchnący błotnik, ofiary czynione nigdy niesytemu krwi niewinnej Molochowi, plewy itd. itd. I gdyby przynajmniej to wszystko ujęte było w jakiś logiczny związek, poparte bodaj pozornymi dowodami! Snuje się bezładnie jak maligna.

Niestety, zamiast chwycić kamień, podawany przez p. Puciatę i rzucić w Towarzystwo Osad rolnych, muszę z tej instytucyi zdjąć kilka zarzutów mojego kolegi („Widnokrąg“ nr 3). Zważywszy, że małoletni przestępcy przynoszą do Studzieńca nabyte przedtem choroby, dziwić się raczej trzeba, że śmiertelność ich jest za mała, niż za wielką. Co do pożywienia, rachunek jest niedokładny, gdyż nie zawiera wielu produktów pożywnych, nie uwzględnia tego, że liczba wychowańców w sprawozdaniu wyraża ilość najwyższą, a faktycznie skutkiem ubywania uwolnionych w ciągu roku bywa mniejszą, że trzykrotne półfuntowe porcye mięsa na tydzień nie przedstawiają ułamku $^1/_5$, że wogóle kuchnia studzieniecka (ostatecznie więzienna), jest znacznie lepszą od jadła ludzi tej sfery. O „głodzeniu na śmierć“ zatem nie może być mowy tak dalece, że wychowańcy zakładu, opuściwszy go i przyjąwszy służbę, często wracają nazad z prośbą o przyjęcie ich ponownie. Błąd również tkwi w twierdzeniu, że na 27 wypuszczonych w r. 1885 nie umiało czytać 21. Wychodzący bawiem z Osad umieją czytać wszyscy, a sprawozdanie zaznacza tylko cyfry analfabetów w chwili ich wstąpienia do kolonii poprawczej.

Sprawiedliwość kazała mi — mówiąc językiem p. Puciaty — „wyrządzić Towarzystwu niedźwiedzią przysługę“ tem sprostowaniem. Zdaje mi się zaś, że prasa powinna wytężyć swoje usiłowania w kierunku przeciwległym radzie autora i raczej pomagać do wzmacniania instytucyj pożytecznych, niż do osłabiania ich, bo ten wpływ destrukcyjny wywiera już sama nasza obojętność i towarzyszące jej warunki. Wspomniano w *Prawdzie* o trudnościach werbowania nowych członków i utrzymania dawnych; ochotnictwo nagłe i dezerterstwo po-

wolne są u nas objawami tak powszechnymi, że czasem aż pytać siebie trzeba: dokąd nas zaprowadzą te łatwo zapalające się i łatwo gasnące płomyki? Ofiarność zaś i wytrwałość ludzi, którzy wysiłkami podpierają walącą się budowę, warte są czegoś więcej, niż zaspokojenia żądz Herostratowych.

n. G.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Odczyty na dochód kasy Mianowskiego odbyć się mają w lutym, marcu i kwietniu, w sali Muzeum przemysłu i rolnictwa. Mówić będą: p. Dziewulski „O źródlach elektryczności," p. Boguski „O Elektrochemii," p. Milicer „O galwanoplastyce," p. Dziewulski „O świetle elektrycznem," p. Jędrzejewicz „O elektryczności powietrza," p. Kramsztyk „O elektromagnetyzmie i telegrafie," p. Dziewulski „O indukcyi i elektromotorach," p. Ciemniewski „O meteorologii, jej środkach i celach," p. Siemiradzki „O wulkanach," p. Kozłowski „O historyi górnictwa w Polsce," p. Znatowicz „O tworzeniu się natury żywej," dr Bujwid „O bakteryach jako fermentach i zarazkach chorobliwych," p. Ślósarski „O drzewach iglastych," p. Holcman „O życiu zwierzęcem w lasach Ameryki południowej."

Ośm nowych szkół ludowych z przymusem ma być otwartych od nowego roku szkolnego w gub. siedleckiej, pow. siedleckim, włodawskim i radzyńskim.

Szkołę malarstwa dla kobiet otworzył w Warszawie p. Ludwik Wiesiołowski. Prócz rysunku i malarstwa, mają być wykładane po całkowitem rozwinięciu kursów: historya sztuki, estetyka i inne nauki, nieodłączne od sztuki.

Konkurs na humoreskę ogłosił *Tyg. ilustr.* Objętość 300 do 500 wierszy druku, termin 1 marca r. b., nagroda rs. 100 i zwykłe honoraryum za wydrukowanie; Sędziami — czytelnicy.

Konkurs na powieść ogłosił *Kur. warsz.* Objętość 6,000 do 10,000 druku, termin 30 września r. b., nagrody dwie: 1,000 i 500 rs.

Konkurs na ułożenie wzorów rachunkowości gospodarskiej, ogłoszony przez *Gaz. rolniczą* wywołał sześć rozpraw, których rozpatrzeniem zajmie się delegacya pod przewodnictwem p. Adama Przanowskiego — sprawozdawca p. J. Jeziorański. Nadto nadesłano z wyłączeniem od konkursu rachunki dóbr D.. składające się z jedenastu ksiąg, wyciągu i opieczętowanej koperty.

Lista osób nagrodzonych przez komitet Muzeum przemysłu i rolnictwa, z powodu przedmiotów, przysłanych na „wystawę potrzeb mieszkalnych i odzieży," została zatwierdzona w d. 13 b. m. przez komitet sądzący. Stopniowanie nagród jest następujące: 1) dyplom zasługi, 2) dyplom uznania, 3) medal złoty, 4) medal wielki srebrny, 5) medal srebrny, 6) medal bronzowy, 7) list pochwalny, 8) nagroda pieniężna. Zamiast dawnego wyrażenia „potwierdzenie medalu," wprowadzono „przypomnienie medalu," jako odznaczenie dla wystawców dawniej już medalami nagrodzonych.

Ze spraw rzemieślniczych. Zgromadzenie giserów uchwaliło, aby prace popisowe, wykonane przez terminatorów przy wyzwoleniu się na czeladników, były wystawiane w Muzeum przemysłu i rolnictwa na sprzedaż. Zgromadzenie koszykarzy powzięło takież samo postanowienie, a nadto uchwaliło medale złote i srebrne dla prac odznaczających się pomysłem i wykonaniem. Zgromadzenie krawieckie rozesłało do majstrów na prowincyi oraz do zgromadzeń czeladniczych za granicą ostrzeżenie, iżby szukający roboty nie spieszyli do Warszawy, gdzie obecnie mało jest zajęcia.

Pp. Temler i Szwede zamierzają w Warszawie założyć pierwszą w kraju parową fabrykę obuwia.

Spółka owocowa obliczyła, że dotąd ma uczestników 41 z kapitałem 3,000 rs. Tymczasem pierwszych kroków nie można rozpocząć z kapitałem mniejszym niż 5,000 rs., który, jeśli nie będzie zebrany do d. 10 marca r. b., to spółka uważaną będzie za niedoszłą do skutku i wkłady uczestnikom zwrócone. Dla podniesienia kapitału do 10,000 rs., przyjęto wniosek d-ra T. Kowalskiego, aby każdy, kto dostarczy spółce przynajmniej za 150 rs. owoców, był obowiązany przy odbieraniu pieniędzy nabyć jeden dział 50-rublowy.

Kiermasz urządzony w grudniu r. z., przyniósł warszawskiemu Towarzystwu dobroczynności dochodu brutto 11,479 rs. 8 kop., netto zaś po potrąceniu wydatków 5,845 rs. 18 kop., która to kwota przelaną została do kasy Towarzystwa.

Telefony zaprowadzone być mają w Lublinie i kilku innych miastach Królestwa. Koncesyę otrzymał p. Bernholdt z Rygi. Przedsiębiorstwem zajęło się towarzystwo telefonów w Libawie.

Cukrownia akcyjna Zakrzówek (gub. Lubelska) nie została zamknięta, lecz dawny zarząd podał się do uwolnienia, weszli natomiast: generał Tichmieniew, p. Sztengier itd., którzy mają się rozpatrzeć w technicznej i finansowej stronie przedsiębiorstwa i wnioski co do dalszych jego losów przedstawić zgromadzeniu ogólnemu akcyonaryuszów. Donosi o tem *Gaz. lub.*

Zakładanie lasów popierane będzie przez nagrody, które ma udzielać ministeryum dóbr państwa właścicielom prywatnym w jedenastu środkowych guberniach, tudzież w kijowskiej i podolskiej. Pierwszą nagrodę stanowić będzie 500 półimperyałów i medal złoty; drugą 300 półimp. i medal srebrny; trzecią medal złoty. Dla Królestwa i kraju zakaukazkiego będą ustanowione osobne środki zachęty.

Bankructwa znaczne nawiedziły Kowno, Grodno i Brześć litewski.

Odczyty ludowe mają być urządzone w Wilnie, na podstawie uchwały reprezentacyi miejskiej, która zamierza wyasygnować zasiłek komisyi wileńskiej, zajmującej się tym przedmiotem. Głównym celem odczytów będzie „zaznajamianie publiczności z wybitnymi faktami historyi Rosyi w ogólności, a kraju północno-zachodniego w szczególności."

W auli uniwersytetu w Petersburgu wywieszono z polecenia ministra oświaty ogłoszenie, zabraniające studentom brać udział w uczczeniach, mających charakter publiczny, bez osobnego zezwolenia władzy najwyższej, pod karą wydalenia z uniwersytetu.

Zmarł we Lwowie dr Filip Zucker, prawnik, poseł na sejm krajowy, członek rady miejskiej tudzież izby handlowej w Brodach, postępowiec i zwolennik asymilacyi z żywiołem krajowym.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

** W obu wierszach liryzm nie jest ani głęboki, ani nie wytryska piękną formą.

P. Zenonowi. K. W języku polskim tylko *Statystyka* Zaleskiego i *Roczniki* galicyjskie, o których mówi dzisiejsza korespondencya z Rusi.

P. Fil. Kr. Niech Pan nie wymaga od nas odpowiedzi szybkiej, bo rzecz wymaga czytania i poszukiwań, a my jesteśmy przeciążeni pracą.

OFIARY.

Dla chorego studenta: Bezimiennie rs. 3, Z. B. z Krasińca rs. 3.

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 9 Января 1887 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski